Nr. 22. Lwów, Niedziela dnia 4. Lutego 1877 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXII.

PRAWA AUTORSKIE.

II. Zwróciliśmy uwagę że prawo autorskie nie jest wieczyste, lecz tylko czasowe. Okoliczność ta stanowczo rozstrzyga spór o własności literackiej. Każda własność jest wieczystą, dziedziczną. Ponieważ prawo autorskie jest tylko czasowe, a więc nie może być uważane za własność.

Nie można lekceważyć samej nazwy, gdyż do nazwy przywiązane są pojęcia prawne: jeżelibyśmy przyjęli nazwę *własności literackiej*, musielibyśmy tem samem przyznać jej wieczystość.

Prawo autorskie należy do najświeższych. Do wynalezienia druku nie było mowy o zabezpieczeniach prawnych na rzecz autorów. Każdy mógł sobie odpisywać rękopisy i rozpowszechniać takowe. Skoro druk wynaleziony został i rozpowszechniać się począł, autorowie znaleźli się w miłem położeniu sprzedawania rękopisów nakładcom, a ci ostatni przewidując korzyści z rozprzedaży dzieła, znaleźli się w możności płacenia honorarjów autorskich. Wkrótce jednak okazało się, że wydane dzieło nie przedstawia nakładcy spodziewanych korzyści, z powodu, że inny drukarz nie płacąc honorarjum przedrukowywał wydane dzieło i sprzedawał taniej. Zagrożeni nakładcy nie chcieli płacić honorarjum. Autorowie tedy zmuszeni byli szukać zabezpieczenia u tronu, i wyjednywali sobie na wzór innych przywileje, że dzieła ich przez przeciąg lat kilku nie będą przedrukowywane. Z każdym rokiem przywileje się mnożyły, aż ostatecznie w 18 i 19 wieku poczęto już zamieniać je w prawo obowiązujące, i rozciągające się na wszystkie utwory literackie, naukowe i artystyczne. Taki miało początek prawo autorskie. Ponieważ jednak to prawo (przepis, ustawa) wypływało z potrzeby bieżącej, a nie miało zastosowania w prawie rzymskiem, które było wzorem dla wszystkich nowoczesnych prawodawstw, więc w każdym kraju inaczej się na nie zapatrywano i inaczej je stanowiono.

Proudhon w sposób następujący określa prawo autorskie: „Twórczość w dziedzinie literatury i sztuki ulega ogólnym ekonomicznym prawom produkcji, tak dobrze, jak wyrób płótna lub sukna. Biorą w niej udział te same czynniki: Siły natury, kapitał i praca. Autor czerpie treść swego dzieła ze źródła krążących w danem społeczeństwie pojęć, ideałów, obrazów, motywów. To źródło odpowiada temu, co ekonomja polityczna nazywa siłami natury. Jako pomoce służą autorowi prace, studja, utwory jego poprzedników,— jest to to samo co kapitał. Swoją własną pracą autor przyoblekа opracowany materjał w nową formę, zastosowaną do potrzeb swojego wieku. Jako rezultat powstaje dzieło, które stanowi w ścisłem znaczeniu tego wyrazu własność pracownika, wszelako nie własność literacką, lecz taką samą, jak zboże albo len zebrany z pola przez rolnika, lub jak zwierzyna, którą zastrzelił myśliwy. Każdy produkt albo zużywa się przez producenta, albo się wymienia. Dopóki autor chowa dzieło dla siebie, nie puszczając go na sprzedaż, dopóty może z nim robić, co mu się podoba: spalić, dać przyjaciołom do czytania lub też samemu się niem zachwycać, i wtedy wszelkie korzystanie z dzieła przez inne osoby bez pozwolenia autora byłoby zamachem na jego własność. Lecz weźmy inne położenie rzeczy: autor wydrukował dzieło i puścił je w obieg handlowy. Podług ogólnego nieuniknionego prawa wszelkiej wymiany, od tej chwili ten w swoim rodzaju towar przestaje istnieć dla producenta, i staje się własnością kupującego. Autor dał kupującemu egzemplarz, w zamian otrzymał pieniądze — obaj są w porządku, i żaden z nich jeden drugiemu nic nie winien. Towar puszczony w obieg od tej samej chwili staje się nabytkiem ogółu. Każdy nabywca jednego egzemplarza mocen jest zrobić z nim co mu się podoba, przepisać go lub zniszczyć, a nawet przedrukować, i nie naruszy tem niczyich praw własności.“ *)

Zaiste trudno logiczniej rzecz przedstawić. Wszelako zważywszy, że autor poświęca swemu dziełu wiele pracy, że nie mógłby za nią otrzymać żadnego wynagrodzenia a więc i nie miałby dostatecznej zachęty do pracy, ogół, społeczeństwo, aby przyjść mu w pomoc, zrzeka się swoich, przez kupno nabytych praw na rzecz autora, udziela mu przywileju na wyłączne korzystanie z rozprzedaży dzieła przez dłuższy przeciąg czasu, przywilej ten zamienia w ustawę, i stąd powstaje prawo autorskie.

Ponieważ takie jest pochodzenie prawa autorskiego, więc jest ono różne u różnych narodów, tak np. w Grecji autorowi służy prawo przez lat 15 od daty pierwszego wydania. W Szwajcarji aż do śmierci autora. W Belgji przez całe życie i 20 lat po śmierci, w Danji i Niemczech 30 lat po śmierci autora. W Anglji, 7 lat po śmierci autora albo 42 lat od pierwszego wydania. We Francji i Moskwie 50 lat po śmierci autora prawo służy spadkobiercom korzystania z monopolu.

Słuszną i przyzwoitą jest rzeczą zabezpieczyć autorowi prawo korzystania z własnej pracy na całe życie. I zdaje się, pod tym względem przekonania u nas są ustalone. Idzie jednak o określenie, czy po śmierci autora „nieutalentowane potomstwo“ — jak powiada Proudhon — ma posiadać przywilej na korzystanie z praw autorskich, i przez jak długi przeciąg czasu. Jest to kwestja bardzo ważna, bo tu interes społeczeństwa jest silnie zaangażowany. Nad tem zastanowimy się w przyszłym artykule.

*) Patrz Spasowicz: Prawa autorskie i kontrefakcja.

ŻELIGA.

Powieść
JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy.*)

Do studjów pani Krajczycowej należało i to, jakie wrażenie na istocie świeżej uczynią książki rozbudzające myśli i uczucia dla niej nieznane. Nie było wprawdzie polskich

pod ręką, ale napisano do Warszawy, przywieziono nieco nowości. Heloiza spodziewała się ogromnego wrażenia; w istocie ciekawość wieśniaczki wyrównała oczekiwaniom, ale sąd jej o dziełach zawiódł zupełnie. To co czytała wydało się jej niedorzecznem; przy całem poszanowaniu, jakie miała dla drukowanego słowa, do którego wdrożyły ją książki pobożne, Rózia krytykowała pisarzy w sposób tak niespodziany, naiwny, dziwny, iż Krajczycowa często sile umysłu tego świeżego wydziwić się nie mogła.

Chciwa czytania Rózia znajdowała w niem nadzwyczajną przyjemność, chwile upływały prędzej, dzień schodził niepostrzeżenie, a dla biednej męczennicy już i to było dobrodziejstwem. Ale książki, w większej części tłumaczenia romansów, dramata, poezje, oddziaływały na wrażliwą duszę kobiety, ukazały jej światy i ludzi niebywałych, uczucia nieznane, namiętności gwałtowne, prągnienia nienasycone, jakieś kraje ducha, o ktorych dotąd nie miała pojęcia. W główce jej mąciło się, czuła wtem fałsz zmięszany z prawdą, coś, co wysnute było z rzeczywistości, i jakąś ludzką fałszywą robotę, która tkała z nici życia płótno fantastycznych wzorów.

Z tej znajomości z sąsiadką, która jakoś wprędce odjechała za granicę, potem wróciła znowu do Chwalewa, Rózia skorzystała wiele, poczuła się silniejszą, pewniejszą siebie, zbrojną do walki, której tylko bierny opór przeciwstawiła.

Achingerowi pochlebiały stosunki z Krajczycem i miłem było to książkowe żony zajęcie, rad był że się uczyła, zajmowała i kształciła, nie domyślał się wcale, jak rozwinięcie tego umysłu i serca wpływało na poniżenie jego w oczach żony.

W rozmarzonej główce i pustem sercu kobiecem, jakże się nie miała zrodzić chętka doznania tego uczucia, o którem nieustannie czytała wszędzie, które przepełniało wszystko, a które dotąd było jej obcem... Romanse dowodziły, że małżeństwo wcale nie broniło od miłości, że było przeszkodą dodającą uroku; ale piękna Rózia z ideałów cudzych, z ksiąg i serca stworzyła sobie człowieka do kochania takiego, iż do jego miary ludzie widywani codziennie wcale nie dochodzili. Była więc i ona bezpieczną z tej strony, i Achingerowi nie zagrażało najmniejsze niebezpieczeństwo. Po niejakim tylko czasie, gdy czytanie wywarło skutek, poczuł mąż w pięknej Rózi (raczej niż doświadczył) siłę oporu i wyższość taką, iż się zląkł, aby go nie podbiła i nie opanowała.

Całą nadzieją jego było, że czuwaniem, gderaniem i okazywaniem kiedy niekiedy nieograniczonej swej władzy, utrzyma się przy niej.

Ze wszystkiem się człowiek oswaja, można spać we młynie, gdy się w nim mieszkać nawykło; pani Achingerowa znosiła burze i hałasy z rezygnacją prawie wesołą.

Po owem spotkaniu w Chełmie, z którego nadzwyczaj rad był kuternoga, postanowił on korzystać ze zbliżenia, i wedle wyrażonej teorji wejść w ściślejsze z kasztelanem stosnnki. Chciał też swoim obyczajem pokazać i jemu i Barcińskim, że choć żona jego była sobie prosta chłopianka, ale główkę miała nie lada, umysł otwarty i potrafiła się znaleźć między ludźmi, jak tylko pierwszą obawę zbliżenia się do nich przemogła

Pilno mu było do Barcina, zacierał ręce, roił że do siebie zaprosi, jak przyjmie, i usiłował wmówić w nią, aby była nadzwyczaj śmiałą i rezolutną, szczególniej z Żeligą.

Rózię ten świat i człowiek ten nowy dość nęcił. Na pierwszy rzut oka poczuła niezmierną różnicę wartości pomiędzy nim a Krajczycem; domyśliła się potęgi umysłu i serca bardziej, niż je odkrywała w kasztelanie.

Jest to pierwszem znamieniem wyższości człowieka, gdy ma instynkt oszacowania ludzi; są podniebienia, dla których strawa pół zgniła, siano i kwiatki, gałęzie i liście smakują jednakowo; nie umieją one rozróżnić istotnej wyższości od najpospolitszego jej udawania. Rózia miała właśnie ten wielki dar Boży jasnego widzenia w człowieku. Dla każdej innej kobiety w jej położeniu taki Krajczyc zcudzoziemczały, komedjant, byłby się wydał może wyższym nad kasztelana, a przynajmniej świetniejszym daleko; ona od razu oszacowała Żeligę i postawiła go po nad wszystkimi dotąd znanymi ludźmi.

Trzeciego dnia po jarmarku, zaraz z południa, Achinger zapowiedział żonie, aby się w najnowszą suknię przybrała, i kazał konie przygotować do Barcina; spodziewał się, jak zwykle w razach podobnych oporu, trochę łez, ociągania się, zdziwił się nieco znalazłszy dosyć ochotną gotowość. Jejmość nic mu nie odpowiedziawszy skłoniła główką i poszła się ubierać

Achinger rzekł sobie w duszy:

— To osobliwsza rzecz... gdyby trochę zbałamuciła kasztelana! hm! ja bym dopilnował, że niby mi się nie stało, a taką rybę grubą złowić w sieci... wcale byłoby nie szpetnie.

Szlachcic był okrutnie zazdrośny, ale położenie było wyjątkowe, a Żeligi się nie lękał jakoś, czując w nim uczciwego człowieka.

Zatarł ręce.

Rózia poszła do swego pokoju, i dumała jak się ubrać; dobyła suknię seledynową, niebieską, turkusową, piaskową, *gorge de pigon* bardzo ładniuchną, lilja blada z różowem, nakoniec czarną... czarna się jej wydała najprzyzwoitszą. W istocie było jej tak do twarzy w czarnem, że mogła pozawracać głowy nawet na reducie w Warszawie, w Radziwiłłowskim pałacu... Miała przytem niebieską wstążkę we włosach przy koronkowej czarnej chusteczce, a na szyi i białych ramionach także narzuconą koronkę z niteczek, z których różowe wyglądały palce i wachlarz malowany w kwiaty.

Achinger, którego despotyzm sięgał nawet aż do ubioru żony, w pół godziny opamiętał się, że stroju jej nie podyktował, pobiegł więc do niej i znalazł już wystrojoną przed zwierciadłem. Miał na myśli ową materję seledynową, ale spojrzawszy na Rózię i znalazłszy ją tak uroczyście piękną, oniemiał. Jedną tylko ośmielił się uczynić uwagę, aby balsamkę ze złotym łańcuszkiem wzięła do wachlarza.

Przybyli do państwa Barcińskich w samą porę na kawę; woźnica choć domorosły, zajechał zręcznie, z bata wypalił trzy razy jak należy, w oknie pokazała się głowa pani stolnikowej, a i Barciński wyszedł na ganek. Przyjęcie było uprzejme... pani Marcinowa wprawdzie nie mogła się oswoić z tą myślą, że to była prosta chłopka, szukała w sąsiadce jakichś poszlaków jej pochodzenia, ale zmuszona była wyznać bądź co bądź, iż wieśniaczka ta wcale nie była pospolitą, a w towarzystwie najlepszem chyba jej tylko jednej francuzczyzny brakować mogło. Przyszła i Justysia, która dotąd bawiła przy matce, tylko kasztelan się nie zjawił, siedział jak mól w oficynie. Trochę to rachuby pana Achingera zmięszało, ale był cierpliwy. Wyczekawszy dobrą godzinę, spytał o Żeligę Barcińskiego; podawano właśnie kawę, stolnik poszedł prosić na nią do oficyn. Kasztelan siedział przy Niesieckiego herbarzu...

— Mamy gości — rzekł u progu Barciński, — trzeba się panu rozerwać, prosimy na kawę.

— A któż to tam taki?

— Ale ba, owa śliczna Achingerowa, z którąśmy się poznali w Chełmie na popasie, a powiadam kasztelanowi tak dziś wygląda gdyby róża.

— A mąż przy niej?

— Jak żółty nagniotek — odparł stolnik. — Osobliwsza rzecz jak to się wykształciło, jak nabrało prezentacji, maniery, uwierzyć trudno, że to z prostej chaty przeszło do dworu. Powiadam kasztelanowi ósmy cud świata.

— Stolniku! — śmiejąc się zawołał Żeliga, powiem jejmości.

— Ala ja i sam się przyznam, że admiruję ją... — rzekł Barciński; — rzuć waćpan suchą księgę, a choć patrzyć na żywy twór Boży. nad który o piękniejszy trudno.

— Tak mnie asindziej napastujesz, że się oprzeć nie można — odparł kasztelan zamykając księgę — no idę.

Achinger dostrzegłszy przez okno kroczącego kasztelana, mimowolnie ręce zatarł, szepnął był żonie, żeby go na następny piątek na postny objad prosiła razem z Barcińskimi; układał sobie, że musi ich wszystkich pobałamucić.

Gdy Żeliga wszedł, zarumieniła się pani Achingerowa, poczuła się daleko mniej śmiałą, ale po krótkiej chwili odwaga wróciła; ma to do siebie jasny umysł i czyste serce, że z niemi wkrótce czuje się człowiek bratersko oswojonym i pociągniętym ich siłą Ludzie fałszu odpychają tylko i niepokoją, nawet największą sztuką nie mogą obudzić zaufania, a gdy je pozyskają, zostaje zawsze w człowieku obawa niewytłumaczona, która jest przestrogą.

Żeliga wszedł wesół i dobrej myśli, powitał Achingera, uśmiechnął się do Justysi i przysiadł z drugiej strony przy pani Achingerowej.

— Jakżeście tam państwo do domu naówczas dojechali? — zapytał kasztelan, — kawał drogi i nie dobry, nie obawiałaś się pani?

— Ja? — odpowiedziała Rózia rumieniąc się; ja staram się nie lękać niczego, a z wielu strachami jestem od młodu oswojona. Konie mamy spokojne, gościniec do Chełma tak znajomy, że i po nocy nie straszny.

— Myśmy też dobili się do Barcina

bez wypadku — dodał kasztelan — choć u nas w porze zimowej nocą, nie zawsze to szczęście spotyka.

— A nasze lasy — dodał Achinger — mają od wieków złą dosyć reputację. Lasy i góry jest to właśnie, czego rozbójnikom potrzeba.

— Z dodatkiem jeszcze jednej rzeczy, rzekł kasztelan — żeby mieli kogo rozbijać, a przyznam się panu, że u nas wędrowców objuczonych złotem po gościńcach nie wielu, na faseczkę bigosu i puzderko z gdańską wódką nie są łakomi.

Poczęto się śmiać.

— Nasz kraj w ogóle nie sprzyja awanturnikom i awanturom — dodał Żeliga — płaski jest, widny, nie ma się gdzie skryć chyba w krzaki, a połowę roku nawet rozbójnik nie wytrzyma w tym klimacie. I życie też i umysły i namiętności nie potemu... W południowych krajach wcale inaczej, próżnowania więcej, na powietrzu łatwiej żyje się choćby rok cały, a umysł nieujęty szaleje i i pcha do wybryków.

— Dla tych co swoją tylko ziemię znają, — odezwała się nieśmiało pani Achingerowa, wielce to dziwną jest rzeczą dowiedzieć się, że człowiek, nie wszędzie jest jeden i jednakowy... że tak ogromne są różnice między mieszkańcami krajów i części świata.

— Gdyby to nie było poważną rzeczą o takich przedmiotach rozprawiać, ozwał się kasztelan — dodałbym, że człowiek jest leniwego umysłu pospolicie, a stworzenie Boże, świat, nieskończony i nieustannie inny. Ztąd dla nas też dziwów jest pełen. My sobie wystawiamy, że to co znamy jest już wszystkiem, a życie ledwie starczy na rozpatrzenie się w cząsteczce. Kraje, ludzie, zwierzęta, rośliny, niby jedną formą wszystkie a jak rozmaite... i wiek wiekowi nie podobny, i jeden człowiek w różnych latach jest wcale odmienny, słowem wszystko przemija, mieni się, ginie, wyrasta co chwila, a jeden Bóg, którego siłą się to wszystko stało i trwa, pozostaje zawsze sobą i niezmiennym.

— Za pozwoleniem kasztelana — przerwał Achinger rad się wmięszać do rozmowy — co się tyczy człowieka, żeby się on miał w życiu tak bardzo zmieniać, nie sądzę...

— I zmienia się mój dobrodzieju, i sobą pozostaje — rzekł kasztelan — przynosi miarę na świat, do której rosnąć może, rośnie więc ale w swej formie. Ot tak uderzmy się w piersi, kto z nas, w przeszłość swoją zajrzawszy nie przyzna, że przynajmniej parę razy skórę zmieniał i wyleniał jak wąż...

— A szczególniej — dorzucił stolnik — kto się ożeni to się odmieni.

— O! o! czy jegomość pijesz do mnie? spytał szlachcic.

— Ale jak żywo! — tłumaczył się Barciński — do nas wszystkich się to stosuje. Zresztą mój moci dobrodzieju, gdybyś się jegomość i zmienił, to pewno nie na gorsze, mając taki wonny kwiatuszek u boku. Jego zapach musiałby i waści zaprawić swą wonią...

Pani Achingerowa tak się zmięszała wypowiedzianym jej w oczy komplimentem stolnika, że się zarumieniła, oczy spuściła i chustką musiała zasłonić; kasztelan się rozśmiał, Achinger napuszył, stolnikowa nie była rada.

Ta chwila zamięszania małego nadała inny obrót rozmowie. Justysia przybliżyła się do pani Achingerowej i poczęła z nią szeptać, mężczyźni się nieco oddzielili. Barcińska kawą zajęła.

— Dziękuję za sprawiedliwość oddaną mojej żonie — rzekł Achinger — w istocie to nie jest pospolita niewiasta... codzień się jej zdumiewam.

Kasztelan zwrócił się na chwilę do p. Marcinowej, której kwaskowate usposobienie postrzegł.

— Stolnikowo dobrodziejko — szepnął jej na ucho — bez uprzedzeń! bez uprzedzeń...

— Wszyscyście głowy potracili od zapachu tego kwiatka! — szydersko odpowiedziała pani Barcińska — tylko ja jedna nosem kręcę.

— Ale to przejdzie — rzekł Żeliga całując ją w rękę — boś pani dobra i sprawiedliwa.

— Nie bierz mnie kochany przyjacielu na pochlebstwo, słodyczy nie lubię.

— Patrzże pani, jak Justysia nawet do niej przylgnęła, to już dobry znak, sądzę... rzekł Żeliga, Justysia ma sąd i instynkt trafny, nigdy się na ludziach nie myli.

— Ależ mi daj pokój, a kiedy ci smakuje, ruszaj sobie do niej — pół żartem, pół gniewnie odpychając go ozwała się Barcińska.

Kasztelan uśmiechnąwszy się w istocie poszedł ku pani Achingerowej, a mąż patrząc z daleka zatarł ręce z radości.

Walczyła w nim zazdrość z ambicją, ale ostatnia zwyciężyła.

— Niech mu głowę zawróci, — mówił w duchu — nie mam się czego obawiać, a skorzystam z tego wiele... człek w świat przecie wejdzie i kto to może wiedzieć, do czego to doprowadzi; gdyby tylko zaszłapał, pociągnąłbym go dobrze.

— Stolniku—dodał nagle nieco—ja do was mam prośbę.

— A no mówże sąsiedzie.

— W piątek na postny objadek z całym domem do mnie. Nie mogę tego przenieść, żem was licho przyjął w Chełmie, trzeba sobie sławy poprawić! Jak mi co dobrego życzycie.

— A będzie węgorz.

— Będzie.

— No proścież drugich, mnie już macie.

Achinger posunął się do stolnikowej, która zdala dosłyszała o co chodziło, i powtórzył zaproszenie.

— Z miłą chęcią bym służyła, ale wierzcie mi jestem cierpiąca, a na to zimno narazić się nie mogę. Jeśli mąż i kasztelan pojadą, to i Justysia z nimi, mnie uwolnijcie.

Nie chciał Achinger nalegać, ale na dany przezeń znak, Rózia przyszła z kolei prosić wszystkich na piątkowy objad. Zgodzili się chętnie prócz pani Barcińskiej. Stanęło na tem, że stolnikowa nie pojedzie obawiając się chłodu...

Chwilę potem jeszcze rozmawiał kasztelan z młodą panią, zdumiewając się naturalnemu jej rozsądkowi, a gdy zmierzchać poczęło, sąsiedzi pożegnali Barcińskich i ruszyli do domu. (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

W tym ostatnim perjodzie swego życia żył Karpiński zupełnie po za granicami umysłowego i politycznego ruchu, ożywiającego kraj, a przedewszystkiem stolicę. Dla tego, gdy za czasów Księstwa warszawskiego (1811) *) przyjechał do stolicy, to znalazł wszystko nowe i obce dla siebie. I na Karpińskiego spoglądano jak na zabytek dawnej przeszłości. To też czując się obcym w nowym żywiole, prędko opuścił poeta stolicę, i powrócił do swego zacisza wiejskiego **).

Przez lat 20 z górą oszczędnego gospodarowania uzbierał sobie Karpiński stokilkadziesiąt tysięcy złotych, i za te pieniądze na kilka lat przed śmiercią kupił w powiecie wołkowyskim wioskę Chorowszczyznę, dokąd w r. 1819 przeniósł się, a z nim Kozierowski z żoną, z dziećmi, z całem gospodarstwem. Tutaj na cztery lata przed śmiercią poety poznał go ks. Korniłowicz, nauczyciel szkoły z sąsiedniego miasteczka Łyskowa, który w pamiętniku swoim zapisał dużo drobnych szczegółów z jego starości. Starość to była spokojna, zdrowie mu służyło do samej śmierci, miał przy sobie rodzinę, która w nim widziała swego dobroczyńcę, wieśniacy go kochali, a przecież spokój ten był zaprawny smutkiem, który z różnych zapewne wypływał przyczyn. Karpiński miał wówczas lat przeszło 80, a tacy ludzie już dla tego nie bywają weseli, że rzadko kiedy spotykają rówieśnych towarzyszy młodości, której wspomnienia są dla człowieka zapasem wesołości na całe życie. Późniejsze wspomnienia z czasów ostatniego rozbioru kraju i wojny 1812 r. były przykrej natury i musiały się także nie mało przyczyniać do melancholji, trapiącej Karpińskiego. Rozrywką w tym smutku było dlań czytanie, rozmowa z przyjaciółmi, cią-

*) Fr. Próchnicki. „O życiu Fr. Karpińskiego,“ str. 47.

**) Był wtedy Karpiński na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk, jako jego członek (mianowany jeszcze 1800 r.) Posiedzenie to i pobyt Karpińskiego w Warszawie opisał p. F. M. w „Przyjacielu ludu“ z r. 1838 (Leszno — Nr. 41 str. 327). Przytoczę wyjątek z tego opisu, malujący nam postać sędziwego poety: „Odczytał już był starzec swoje zagajenie, zbliżał się i Potocki do końca rozprawy, kiedy w tem jakąś niespokojność ujrzałem ze strony Niemcewicza, jakąś niecierpliwość, której sobie wytłómaczyć nie mogłem. Zrozumiałem ją wreszcie; zaledwie bowiem Potocki ostatnie wyrzekł słowa, powstał Niemcewicz i donośnym zawołał głosem: „Panie Karpiński, prosim między siebie, prosim zająć należne mu miejsce, zaszczycić nasze grono.“ Zwróciliśmy oczy w stronę, którą Niemcewicz wzrokiem swym oznaczał, i ujrzeliśmy przy drzwiach jakąś niską, potulną figurkę, która zawstydzona tak publicznem wezwaniem, coraz głębiej chroniła się w swój zakątek. Trzeba było powtórnego wezwania Niemcewicza, aby zmusić nareszcie Karpińskiego do udania się na miejsce wskazane... Szedł powoli blady i wychudły staruszek, w zielony surdut z pętlicami przybrany, opierając się na grubej i wysokiej trzcinie z gałką kościaną. Pomięszanie jego było tak uroczem, kroki już drżące. Rozstępowano się wszędzie przez uszanowanie dla tego zgrzybiałego kochanka Justyny.“

*

gnienie kabały lub wreszcie gra w karty z wnukiem Franciszkiem, a to z umową, aby cała wygrana tak jednej, jak drugiej strony szła na zapomogę dla biedniejszych wieśniaków*). Czasami jednak ożywiał się niespodzianie, i był do podziwienia żartobliwym. Z dawniejszych znajomych miał w sąsiedztwie tylko Ignacego Sichenia, starostę krzemieńczuckiego, który go czasem odwidzał. Oprócz niego do najlepszych swoich przyjaciół zaliczał Karola Prozora Oboźnego W. Ks. L. jednę z najszlachetniejszych postaci z końca XVIII w. szefa Stryjeńskiego, którego prześliczną charakterystykę podaje w swoich pamiętnikach (str. 170) i Marcina Badeniego.

Na dwa tygodnie przed śmiercią poczuł jakieś dolegliwości, które przy pomocy lekarskiej prędko ustały, czuł jednak zbliżanie się śmierci, bo przyjął sakrament. Następnie zapadł w senność, która go przez kilka dni trzymała, aż wreszcie niepostrzeżenie usnął na wieki w piątek rano o 4ej 16go września 1825, licząc lat 84**). Pochowano go na cmentarzu łyskowskim z okazałością, na jaką miasteczko zdobyć się mogło. Tłumy ludu towarzyszyły obrzędowi pogrzebowemu. Na grobowcu podług życzenia poety położono napis:

„Oto mój dom ubogi.“

Od zamieszkania w kolonji, Karpiński po pieśniach religijnych nic prawie nie pisał z poezji. Wiemy już o wierszu do Repnina; na początku panowania Pawła napisał wiersz pt. „Żale Sarmaty na grobie Zygmunta Augusta,“ w którym ubolewając nad upadkiem ojczyzny, kruszył pióro i na wieki rozstawał się z poezją. Istotnie potem nie pisał już wierszy, z wyjątkiem kilku drobnych okolicznościowych. Z rzeczy prozą pisanych należą do tej epoki następujące: Tłumaczenie dzieła francuskiego p. Michaud „Wiara, prawa i obyczaje Indjanów;“ „Rozmowy Platona z uczniami swojemi,“ rzecz ofiarowana cesarzowi Aleksandrowi I, a za którą otrzymał od cesarza złotą tabakierkę; „Dzieciom dla ich rozrywki i nauki,“ krótkie opowiadania z dziejów starożytnych; nareszcie Pamiętniki, którym dał był tytuł „Historja wieku mego i ludzi, z którymi żyłem,“ a które przestał pisać na 3 lata przed śmiercią. Co się tyczy utworów dramatycznych: „Judyta“ tragedja białym wierszem „Czynsz,“ komedja i „Asceta“ opera, nie wiem do jakiej epoki je zaliczyć; możnaby przypuszczać, że pisane były przed osiedleniem się w Kraśniku, gdyż wątpliwa rzecz, aby w leśnej kolonji przyszła była Karpińskiemu ochota pisać dla sceny, od której był tak daleko; wszakże nie zawierają się one w wydaniach dzieł jego z 18 wieku. Wątpliwość tę zostawiam nierozstrzygniętą, nie sądząc, aby wiele zależało na jej rozwiązaniu.

Utwory Karpińskiego miały mnóstwo wydań oddzielnych i zbiorowych. Podaję spis tych wydań na podstawie bibljografji Estrejchera, Obrazu bibljograficzno-historycznego Jochera (pieśni religijne) i wreszcie tego, co sam widziałem. Posiłkowałem się także notatami śp. Cyprjana Walewskiego, których łaskawie raczył mi użyczyć p. Estrejcher, dyrektor bibljoteki Jagiellońskiej.

Zabawki wierszem i przykłady obyczajne. T. I. Lwów 1780.

*) W testamencie, mianując głównym spadkobiercą swoim Franciszka Kozierowskiego, włożył nań obowiązek opłacania podatków rządowych za włościan. Korniłowicz „O życiu Fr. Karp.“ 66.

**) Korniłowicz. 65.

Zabawki wierszem i przykłady obyczajne po drugi raz przedruk. we Lwowie 1782. T. I.

Zabawki wierszem i prozą. Warszawa u Grölla 1782 T. I i II.

Zabawki wierszem i prozą. Warszawa u Grölla 1783 T. III i IV.

Zabawki wierszem i prozą. Warszawa u Grölla 1786. T. V. i VI.

Zabawki wierszem i prozą. Warszawa u Grölla 1787. T. VII.

Podróż do Krakowa, w drukarni J. K. M. 1788 r.

Zabawki wierszem i prozą. Warszawa u Grölla 1790. T. I, II, III, IV.

Pieśni nabożne przez F. K. w Wilnie w druk. J. K. M. 1793.

Pieśni nabożne przez F. K. w Wilnie w druk. Akademickiej 1795.

Pieśni nabożne przez F. K. Kraków w druk. Szkoły głównej 1798.

Zabawki wierszem i prozą przedrukowane bez wymienienia miejsca druku 1803. Tomów IV.

Wiara, prawa i obyczaje Indjanów przez Fr. Karp. Lipsk 1803.

Dzieła wierszem i prozą Franciszka Karpińskiego z popiersiem autora. Tomów IV. Warszawa 1806.

Judyta, królowa polska, tragedja. Poznań 1806.

Pieśni nabożne przez F. K. nakładem Towarzystwa typograficznego. Wilno 1819.

Dzieciom dla ich rozrywki i nauki niektóre zabawniejsze historje z różnych dziejów świata zebrane przez Fr. Karp. Wilno. Nakład Aleks. Żółkowskiego. 1820.

Dzieła wierszem i prozą Franciszka Karpińskiego z wiadomością o śmierci autora. Wrocław 1826.

Nabożeństwo codzienne dla młodzieży chrześcijańskiej z dodatkiem pieśni Fr. Karpińskiego. Wilno. Zawadzki 1828.

Psałterz Dawida przekład Fr. Karpińskiego. Warszawa 1829. W końcu 25 pieśni nabożnych i zwrotka do Boga.

Dzieła Fr. Karpińskiego nakładem Walerjana Krasińskiego. Warsza. 1830. T. I. Na czele o życiu i pismach Fr. Karp. przez Kaźmierza Brodzińskiego.

Wiersz o powinnościach obywatela przedrukowany kosztem E. S. i ofiarowany młodzieży polskiej. Kraków. 1830.

Dzieła Fr. Karpińskiego. T. V. Lipsk. Nakładem Bobrowicza. 1835—6.

Pamiętniki Fr. Karpińskiego z rękopisu wydał J. Morawski. Poznań, 1844.

Pamiętniki Fr. Karpiń. Wydanie drugie. Lwów, 1849.

Dzieła Fr. Karpińskiego (wraz z pamiętnikami) w Bibliotece polskiej Turowskiego. Kraków, 1862.

Franciszek Karpiński i jego pieśni. Warszawa. Lewiński, 1862.

Dawida siedm psalmów wierszem spolszczonych przez Karpińskiego. Lwów, 1872. Na pamiątkę 100 letniej rocznicy rozbioru Polski.

Oprócz tego bez oznaczenia roku wyszły:
Laura i Filon.
Laura i Filon. Kraków.

O wielkości Boga, wiersz przez F. K. kapitana wojsk polskich str. 11.

Wiersz do Poczobuta, rektora Akad. wileńskiej i ks. Kundzicza z przypadku mostu spalonego w Wilnie.

V.

(Poezja Karpińskiego. Sielanki i pieśni miłosne. Pieśni moralno-filozoficzne. Pieśni obywatelskie. Pieśni religijne i psalmy. Ostateczne wnioski.)

Przystępując teraz do oceny dzieł Karpińskiego, a właściwie jego poezji, winienem naprzód podzielić ją podług czasu, a następnie podług rodzajów. Podział według czasu wydaje mi się potrzebny z tego powodu, że nie dla wszystkich utworów poetycznych Karpińskiego miałem możność w bjografji poety oznaczyć czas ich napisania. Otóż sądzę, że tak życie jak i poetycka działalność Karpińskiego rozpada się na trzy główne perjody: pierwszy od początku tej działalności do wyjazdu do Warszawy na wezwanie ks. Adama Czartoryskiego; drugi do chwili zerwania z nadziejami na protekcję króla i panów, tj. do wyjazdu do Kraśnika; trzeci wreszcie, obejmujący ostatnią część życia poety. W pierwszym perjodzie jest Karpiński przedewszystkiem śpiewakiem Justyny i autorem sielanek, które pierwsze sławę mu zrobiły. Prócz wszystkich sielanek (z wyjątkiem na rocznicę imienin zmarłej ks. Teresy) należy do tego perjodu kilkanaście pieśni rozmaitej treści, a wreszcie wiersz „Sumienie.“ W tym perjodzie znać na utworach Karpińskiego silny i nieprzetrawiony wpływ francuskiej poezji. Do drugiego perjodu należą pieśni treści moralnej, społecznej i patrjotycznej, kilkanaście erotyków objętych ogólną nazwą pieśni, przekład psalmów, wreszcie słynny „Powrót z Warszawy.“ W tym drugim perjodzie jest Karpiński nieco samoistniejszym, a w niektórych pieśniach zupełnie się wyzwala z pod francuskiego wpływu, i staje się rodzimym śpiewakiem. Do trzeciego wreszcie perjodu odnoszą się prawie wyłącznie pieśni religijne, mniej więcej nastrojone na ton dawnej pobożnej pieśni polskiej. W nich jest Karpiński zupełnie swojskim poetą.

Co się tyczy podziału podług rodzajów, to za Brodzińskim dzielę wszystkie utwory liryczne Karpińskiego na miłosne, obywatelskie i religijne, dodając do nich tylko jeszcze jeden dział: pieśni moralno-filozoficznej treści, jest ich bowiem tak wiele, że muszą utworzyć dział osobny. Podział ten ma tę dogodność, że do pewnego stopnia idzie w parze z chronologicznym, miłosne bowiem pieśni w znacznej części przypadają na epokę młodości, pieśni obywatelskie i filozoficzno-moralne przeważnie na wiek dojrzały, religijne wyłącznie na wiek podeszły.

Do miłosnej poezji należą sielanki i blisko czwarta część pieśni Wiele tych pieśni pod względem treści tytułem tylko różni się od sielanek. I tu i tam krajobraz sielski małą gra rolę, i tu i tam wyłączną treścią są uczucia zawiedzionej lub tęskniącej miłości. Ale pod względem obrobienia różnica jest znaczna, i stanowczo przemawia na korzyść pieśni, pomimo, iż to sielanki dotychczas robiły największą sławę poecie. Przypatrzmy się naprzód sielankom i określmy bliżej ich charakter, co się jednak nie da zrobić bez podania krótkiej genezy tego rodzaju poezji.

(C. d. n)

WYSTRZAŁ W OKO.

Nowella.

Napisał

JAN STELLA SAWICKI.

(*Dokończenie.*)

Nastąpiło lato. Wysoko nad górami stada żórawi gromadnem klekotaniem ogłaszały swój przelot; niżej nad Ingodą krążyły jastrzębie, zakreślając swym polotem koliste figury w powietrzu. W lesie słychać było puchanie głuszców, prześwistywanie kulików, granie cietrzewi, skrzeczenie żołny, ciurkanie dzięcioła, i śpiew ptaka podobny do śpiewu słowika. Chór ptactwa przeróżny wszędzie się rozlegał, napełniając bory, gaje, błonia i skały. Nad brzegami rzeki czaple stanęły szeregiem jak posągi, niby straż nieruchoma czatując na ryby, pokazujące się na powierzchni wody. W powietrzu panowała dziwna spokojność, góry i doliny pstrzyły się od kwiatów, a powietrze było napełnione zapachami. Przyroda nęciła, zapraszała do zabawy, do przechadzki.

Pan sprawnik zebrawszy liczne towarzystwo wyruszył znowu na polowanie. Zwierzyny było mnóstwo; huk strzałów rozlegał się ze wszystkich stron; każdy obarczony zwierzyną wracał do domu. Nie było tylko Hendrychowa i Łabanowa.

— Panowie, rzekł sprawnik, musimy wrócić i poszukać ich, bo może ich spotkać to samo co Chabarowa. Towarzystwo uznawszy słuszność uwagi, rozsypało się po lesie umówiwszy się, iż strzałem dadzą znać, jeżeli znajdą zbłąkanych. Z pół godziny upłynęło w naprożnych poszukiwaniach, wtem padł strzał raz z prawej, drugi raz z lewej strony; towarzystwo rozdzieliło się na dwie części i każda poszła w kierunku strzału. Lecz jakież było porażenie wszystkich, gdy znaleziono Hendrychowa i Łabanowa tarzających się we krwi, zabitych. Po twarzy krew płynęła; kula ugodziła była obudwu w oko i wyszła przez czaszkę. Zabici leżeli na ziemi w ubraniu swojem, przy ze garku i pieniądzach — więc nie grabież była powodem zabójstwa. Ktoś z przytomnych wspomniał o strzelcu polskim, który powiedział na przeszłorocznej zabawie, że inaczej nie strzela do grubego zwierza, jak tylko w oko. — To on, to sprawa tego Polaka wyrzekli wszyscy, a zemsta jest powodem. Jeden z towarzystwa dodał, iż zagłębiwszy się do lasu spotkał człowieka wysokiego i barczystego, mającego strzelbę na ramieniu; nieznajomy spojrzał na niego tak przerażająco, jakby go okiem chciał zabić, potem odwrócił się i krokiem powolnym poszedł w gęstwinę. Teraz zrozumiano, zkąd pochodziła dziura w czaszce Chabarowa. Przerażenie było ogólne. Wszyscy zbiegli się gromadą, bojąc się wracać do miasta w pojedynkę. Na czele szedł sprawnik i jego towarzysze zbrodni dokonanej na biednym strzelcu, przestraszeni niezmiernie, bo trzech już z towarzystwa ich straciło życie.

— Ale to być nie może, mówił sprawnik, wszakżeśmy go pozostawili bez życia na miejscu! Czyżby odżył? potrzeba będzie jutro zrobić obławę i złowić rozbójnika.

W chwili, gdy schodzili z góry, z dolin już znikały ostatnie promienie słońca, a szczyty błyszczały jeszcze jak głowy świętych na obrazku; obłoki żółkły i co chwilę inaczej się farbowały. Wtem na urwisku skały, oddalonej zaledwo na jakie pięćdziesiąt kroków od drogi, pokazała się czarna figura. Mimowolnie zwrócili wszyscy oczy na to zjawisko, lecz w tym momencie rozległ się strzał, i kozacki oficer Pietrow padł ugodzony kulą w oko. Przestrach był tak wielki, iż wszyscy pobiegli ku miastu rzucając nieboszczyków, których nieśli do domu.

Na drugi dzień z rozkazu gubernatora około czterystu uzbrojonych ludzi wysłano na obławę do lasu. Obława zaczęła się od doliny, gdzie dawniej mieszkał Czoborski. Na miejscu domu znaleziono tylko wyziębłe zgliszcza. Cały dzień przetrząsali las we wszystkich kierunkach, lecz nigdzie nawet śladu strzelca nie znaleziono.

Można sobie wyobrazić, jaki w mieście ruch powstał po tak niezwykłym wypadku; jedni byli za tem, żeby ścigać Czoborskiego, robić obławy i wyznaczyć cenę za jego głowę, drudzy mówili, że to była zemsta za niezasłużoną i niesprawiedliwą karę, i w oczach ich nieszczęsny wygnaniec urósł na bohatera, bo siła i energja niezmiernie imponuje Moskalom, i obudza w nich poszanowanie.

Przestrach pozostałych pięciu wspólników zbrodni, będących przy życiu, był nie do opisania. Zamknęli się w domu; nikt z miasta nie wychodził, zaczęli unikać jeden drugiego i szumne orgje ustały.

W końcu lata kupiec Safjanów musiał udać się za Nerczyńsk do kozackiej wsi Gorbiecy nad Szyłką. Tam Oroczanie, dzikie plemię, składali w tym czasie jarak czyli podatek, i zaopatrywali się u kupców w proch, mąkę i inne potrzebne im rzeczy, za wszystko płacąc skórami. Zebrania te nazywają się sułgan czyli jarmarki. Safjanów lękał się jechać pocztową drogą, i dla tego zabrawszy towary swe siadł na tratwę, która płynąc po Ingodzie mogła go zawieść aż na miejsce.

Raniutko tratwa odbiła od brzegu. Prąd niósł ją szybko pomiędzy skały. Gruba mgła zaległa nad okolicą tak, że przez nią brzegów nie można było widzieć; lecz około 10 z rana mgła rozrzedziła się i podniosła się do błękitu nieba, kształtując na niem owe łabędzie, gąski i żagle, których kształty obłoki przyjmują. Słońce się pokazało. Rzeka płowo zielonego koloru niby wstążka rozwiana wiatrem, kręciła się między górami obrosłemi borem. Fala prędko unosiła statek mimo potoków, które hucząc po kamieniach między drzewami wpadają do rzeki. Na brzegach w wiklinie skrywało się mnóstwo dzikich gęsi i kaczek, które przestraszone zbliżeniem się tratwy, z krzykiem i kwakiem trwogi ulatywały nad wodą w inne bezpieczniejsze miejsca.

Przyroda była tak piękna, że wszyscy jadący stanęli na tratwie, i ciekawie przypatrywali się cudownej panoramie co chwila zmieniającej się. W jednem miejscu na brzegu stała żółta skała jakby utworzona ze zbicia i nagromadzenia architektonicznych słupów; sosna uczepiwszy się prostopadłej ściany, wysoko podniosła swą iglastą koronę. Około sosny stał wysoki mężczyzna, ubrany po syberyjsku w kożuchu i untach, to jest rodzaju ciżem skórzanym włosem obróconych do nogi. Safjanów patrzał na tego człowieka z początku obojętnie, lecz wtem krzyknął z przerażenia, gdyż poznał strzelca, którego katował. Jednocześnie nastąpił wystrzał, i kupiec potoczył się do rzeki ugodzony kulą w oko. Strzelec odwrócił się i spokojnym krokiem zstąpił ze skały, i znikł z oczu przerażonych podróżnych.

Wiadomość o tym wypadku wstrząsnęła na nowo całą społecznością Czyty. Nikt już nie wątpił teraz, że jest to kara, która spadała na sprawców zbrodni. Pozostali przy życiu zbrodniarze trzęśli się ze strachu na samo wspomnienie o strzelcu. Sprawnik aż posiwiał z niepokoju, chodził codziennie do cerkwi, zrobił się potulnym, grzecznym dla wszystkich, a sędzia prosił o przeniesienie go do Barguzyńska, żeby oddalić się od strasznego wroga, którego schwytać było niepodobna, bo wszystkie obławy nie doprowadziły do żadnego skutku.

Sędzia Połuszkin mieszkał w domku na krańcu zachodniej części miasta. Był to wielki lubownik kwiatów; miał ładny ogródek i codziennie z rana, zaledwo słońce wstało, zajmował się ich pielęgnowaniem i polewaniem. Jednego poranku wyszedł z domu według zwyczaju do ogrodu. W powietrzu rozlane były upajające wonie; słońce świeciło i grzało tem łagodnem światłem i ciepłem, które zsyła na ziemię przy jej przebudzeniu się; przyroda cała uśmiechała się do człowieka; ptaszki śpiewały swą modlitwę poranną. Wtem coś zaszeleściało w krzewie bzu. Sędzia zwrócił oczy w tę stronę i obaczył postać strzelca, który podniósłszy swą straszną strzelbę, czekał aż sędzia pozna go dobrze. Przerażony tem zjawiskiem sędzia wykrzyknął: „czort“ i chciał uciekać, lecz kula ugodziła go w oko, a strzelec przeskoczył szybko przez parkan, dosiadł konia uwiązanego около płotu, i w chwil kilka zniknął w zaroślach gór otaczających Czytę.

Te tak częste zabójstwa dokonywane przez jednego i tegoż człowieka, zniewoliły gubernatosa do powiększenia ceny za głowę Czoborskiego, lecz zdaje się, że lud okoliczny protegował go z nienawiści do sprawnika, bo chociaż i byli ludzie co go widzieli w lesie i we wsiach okolicznych, dokąd przychodził kupować chleb i proch, lecz nikt nie chciał go schwytać.

Pozostali trzej wspólnicy postanowili uciekać. Sprawnik podał prośbę o przeniesienie go do Tomska, a Ławrow na żądanie własne został przeniesiony do Irkucka.

Ten ostatni wiedząc, iż Czoborski nie strzela inaczej w swego wroga jak w oko, najął długi wóz, w którym położył się, postanowiwszy przez cały czas przejazdu głowy nie podejmować i nigdzie nie wysiadać. Obok siebie kazał położyć zapasy jadła i beczułki wódki, i leżąc w powozie wyjechał z Czyty. Dwa dni jechał zachowując największą ostrożność. Dnia trzeciego, gdy już był o parę wiorst od Czyty, koło powozu uderzyło o wielki kamień leżący na drodze, wóz się przechylił i baryłka wódki wyleciała na ziemię. Zerwał się Ławrow, zapomniawszy swoją ostrożność i zaczął łajać woźnicę, gdy wtem niedaleko powozu zobaczył długą figurę strzelca z podniesioną strzelbą. Czasu nie było do schowania się; wystrzał rozległ się, a przestraszone konie poniosły trupa Ławrowa, któremu kula roztrzaskała czaszkę przeszedłszy przez oko.

Jerszow porzucił wszystko, przebrał się nie do poznania i kupiwszy konia w noc późną wyjechał z Czyty na zachód do Omska. Szczęście mu posłużyło, i po uciążliwej podróży dostał się do portu zbawienia, gdzie był pewnym iż go niedosięgnie ręka mściciela.

Sprawnik z nieopisanym niepokojem wyglądał przeniesienia swego. Lato już się skończyło. Nareszcie przyszło długo oczekiwane przeniesienie. Sprawnik nikomu o niem nie mówił i nikomu się nie zwierzał o dniu odjazdu. Wysłał tylko z miasta żonę i dzieci, i czekał odpowiedzi, kiedy staną na miejscu. Strach tak owładnął całem jego jestestwem, iż zamknąwszy się w domu nieraz płakał godzinami całemi, lub wpadając w bezsilną wściekłość tłukł meble i naczynia, i

ofiarowywał tysiąc rubli z własnej szkatuły za złowienie tego strzelca.

Nareszcie w noc ciemną kazał przyprowadzić sobie dobrego konia, i wyruszył z Czyty ku Bajkałowi nie pożegnawszy się z nikim, bo się bał, żeby wieść o wyjeździe jego nie doszła do strasznego strzelca.

Wysokie góry połamane i potrzaskane w fantastyczne kształty obramowują jezioro bajkalskie. Widoki brzegów są nieporównanej piękności. Skały łamane, proste, krzywe zdobią brzegi. Zacząwszy od liszajców i od mchów, które niby makaty i bogate kobierce wyścielają skalne nisze i komory, upiększa je całe królestwo roślin. Modrzewie, sosny, brzozy i wierzby zielenią się na wierzchołkach i na stokach. Mnóstwo drzew powalonych świadczą o gwałtowności wichrów na jeziorze. Tam sterczy pień, ówdzie korzenie, tam drzewo nachyliło się nad wodą, owdzie rozpostarło baldachin konarów, a pod nim kwitną alpejskie rośliny i świegocze ptaszyna. Przylądki są poszarpane i porysowane wodą i piorunami. Woda roztrząsając się o kamienie, pokrywa je pianą, hucząc ponuro. Woda jeziora bajkalskiego ma kolor szmaragdowy, jak w naszem Morskiem Oku.

Parostatek z Listwienniczej, głównego portu Bajkału wypłynął już ku Posolskowi pierwszej przystani. Brzegiem jeziora dążył jeździec, na spienionym koniu sadząc przez rowy i kamienie, żeby nie spóźnić się na parostatek, który tylko na kwadrans zatrzymuje się w przystani.

Był to sprawnik. Pięć jeszcze minut i już będzie na statku, okropna zmora, która go dusiła, spać nie dawała odbierając spokojność już ustąpi, lepsze życie w przyszłości uśmiechało się jemu, tam za jeziorem czekała go żona i dzieci, tam zacznie życie inne, uczciwe...

Wtem koń skoczył w stronę przestraszony, i nieprzygotowany jeździec zleciał z siodła. Sprawnik podniósł się z ziemi, wtem z boku usłyszał chrzęst jakby odwiedzionego kurka, spojrzał, a przed nim stał strzelec z podniesioną strzelbą i z okiem, w którem pałał ogień nieugaszonej zemsty. Sprawnik upadł na kolana i złożył ręce błagalnie. Strzelec lufy opuścił niżej, potem zagrzmiał wystrzał i sprawnik upadł na znak ugodzony kulą w oko. Strzelec spojrzał spokojnie, poszedł do trupa i plunąwszy mu na twarz wyrzekł: „A to moja mowa pogrzebowa nad tobą psie moskiewski“; potem odwiązał konia sprawnika, który zaczepił się uzdą za krzaki, dosiadł go i znowu puścił się na południe.

Odtąd o nim nikt już więcej nic nie słyszał.

Koniec.

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

FRANCISZKA KSAWEREGO MARTYNOWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy*).

Już sam zewnętrzny charakter średniowiecznego miasta i owa wyrazistość jego kształtów, tak harmonizująca z całością obrazu, daje nam poniekąd wyraźne świadectwo szeroko rozwiniętego życia grodzkich mieszkańców. I rzeczywiście tak było w istocie. Nie mówiąc już o innych a tysiącznych objawach owego życia, musimy wyznać, że średnie wieki pod wielu względami mało się różniły od czasów dzisiejszych, a kto wie, czy w wielu razach nie stały od nas daleko wyżej. Kiedy my dzisiaj dążąc do wytworzenia stowarzyszeń tak rzemieślniczych, handlowych, jak naukowych i literackich, poczytujemy to sobie najczęściej za nasz wynalazek i chwałę naszą, uważamy za nowość, — średnie wieki znały doskonale ten sposób publicznego życia. Szczególnie miasta bardzo tu wyraźnie wystąpiły. To też patrząc nawet pobieżnie na życie średniowiecznego mieszczaństwa, nie ujdzie pewno niczyjej uwagi, że ono polegało na rozlicznych stowarzyszeniach tak świeckiej, jak i religijnej treści. Więc obok zakonów widzi się tam przeróżne bractwa religijne, towarzystwa miłości i opieki nad bliźnim, a co się tyczy rzemiosł, to one powiązały się w najzupełniej rozwinięte stowarzyszenia. Prawda, że dawne cechy rzemieślnicze możeby w niektórych punktach swojej organizacji nie odpowiedziały potrzebom bieżącego stulecia, zawsze jednak są one nader interesującem zjawiskiem, tem bardziej, że w zupełności zadość czyniły warunkom życia tamtejszych czasów. To też cechy i bractwa skupiały w sobie wszystkich mieszkańców grodzkich, a razem wzięte one stowarzyszenia przedstawiały gminę, pojmującą najzupełniej swoje znaczenie i zadanie. Każdy więc mieszkaniec miejski czuł się znaczącą jednostką swojego stowarzyszenia, które w razie potrzeby niosło mu pomoc, czuwało nad jego dobrem i mieniem, i baczyło na domowe i publiczne postępki. Dobro stowarzyszenia było dobrem każdej jego jednostki i odwrotnie; stąd właśnie widzimy w średnich stuleciach owo namiętne dążenie do stowarzyszeń, tak, że wiązali się w nie nietylko rzemieślnicy i zwykli mieszkańcy miejscy, ale nawet artyści i literaci ówcześni i w ogóle cała ludność grodzka.

Jakkolwiek stowarzyszenia religijne, jak zakony i bractwa średniowieczne, nie należą do zakresu niniejszej pracy, przecież musimy i o nie potrącić mimochodem, a to ze względu, iż one dały impuls stowarzyszeniom, czyli cechom rzemieślniczym średnich stuleci.

Kościół skupiał w sobie wszystkie kierunki społecznego i towarzyskiego życia, ogarniał i kształcił wszelkie rzemiosła, które z razu odpowiadały zaledwo miejscowym potrzebom tej lub owej kongregacji religijnej, nie myśląc wcale o szerszym wpływie na okolicznych mieszkańców. W miarę jednak, o ile się rozwijało życie klasztorne, rosły jego potrzeby, a za niemi postępowały różne wynalazki i ulepszenia rzemiosł. Stowarzyszenia takie oparte na wzajemnem uzupełnianiu potrzeb życia swojego, szerząc naukę Chrystusa pomiędzy pogańskiemi ludy — zaszczepiały z nią razem nowe społeczne pojęcia, i rzemiosł wszelakich znajomość krzewiły. Więc życie klasztorne rozsiewało naokół zdobycze swojej pracy i wiekowych spostrzeżeń, a ziarna takie rzucone na surowe niwy ludów rozmaitych, w następstwie wieków rozwinęły się szeroko, stały się cywilizacyjnemi pierwiastkami człowieka.

Jeżeli który z zakonów, to niezawodnie cysterski największe tu położył zasługi. Cystersi bowiem, rozwinąwszy się na południo-zachodzie Europy w XII i XIII stuleciu — wytworzyli w swoich osadach zupełnie rozwinięte gospodarstwo; stąd widzisz tam obok ascety dobrego rzemieślnika, obok rzecznika wiary świętej, nauczyciela uprawy roli i sadownictwa. Każda kongregacja cysterska kształciła w łonie swojem wszystkie czynniki umiejętnego gospodarstwa i przemysłu, odpowiadającego ówczesnym potrzebom. Względnie zaś do celu swojego bytu, Cystersi rolniczo-przemysłowej działalności nie zamykali w murach klasztornych, ale ją szerzyli po okolicznych przestrzeniach. Jakoż z razu zakonnicy owi, składając się li tylko z duchowieństwa i braci klasztornych, różnego rodzaju rzemiosł i zatrudnień uprawiaczy, — w następstwie zmienili ten tryb życia, przez zaprowadzenie rzemieślniczych kolonij po rozmaitych osadach przyległego terytorjum ziemi. Więc stolarze, szewcy, cieśle, budowniczowie i inni rzemieślnicy świeccy, wyćwiczeni przez Cystersów, zostawali pod kierownictwem jednego majstra, którym bywał zawsze braciszek klasztorny. Kolonja taka rzemieślnicza zostawała pod bezpośredniem zwierzchnictwem właściwego klasztoru, a czyniąc zadość potrzebom zakonnego gospodarstwa, wpływała jednocześnie na rozwinięcie się rzemiosł w pośród miejskiego ludu.

Ponieważ Cystersi z rolnictwem i rzemiosłami zaprowadzali szkoły wszędzie, gdzie tylko ich wpływ sięgał, więc i skutki takiej pracy przyniosły wielkie owoce. Dość tu powiedzieć, że już w XII wieku, pod wpływem tego zakonu powstaje we Francji związek pod nazwaniem *pontifices*, mający na celu budowanie dróg i mostów. Następnie znowu opat *Wilhelm z Hirschau* organizuje w Regensburgu stowarzyszenia rzemieślnicze (*Bauhütte*), których członkowie składali się wyłącznie z świeckich ludzi. To też prawie równocześnie widzimy rzemieślnicze korporacje powstające w St. Gallen, Hirschau, Herisfeld, Laon, Fleury, Reims, Hildesheim i wielu innych miastach południowo-zachodniej Europy — a w drugiej połowie XIII stulecia stowarzyszenia owe wydają z siebie nader doniosłego znaczenia cech budowniczy, który stwarza najpotężniejsze katedry ostrołukowego charakteru. W takich to stowarzyszeniach zrodziły się owe indywidualne zasady sztuki ostrołukowej, myśli, obok której pod względem samodzielności myśli, staną może tylko sam jeden klasycyzm helleński.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli widzimy, że cechy rzemieślnicze wypielęgnowane zostały przez duchowieństwo klasztorne, zwłaszcza przez zakon cysterski, a tak raz powstałe stowarzyszenia owe, pomimo, że później stają się niebezpiecznemi dla ustroju feodalnego państwa, przecież z biegiem czasu ustawicznie się rozwijają. Przyczynił się do tego wiele gniotący system ciemnych rządów, w obec których tylko tak silnie uorganizowane korporacje jak cechy, mogły śmielej czoło postawić, i zdobywać dla siebie coraz to szersze prerogatywy prawne. Stąd właśnie i ludność danych okolic, widząc korzystniejsze warunki cechów, niż własne, — ustawicznie zaczyna do nich napływać.

Nie wdając się w historyczny przebieg cechów, szczególnie obcych, notujemy tutaj, że i nasze stowarzyszenia rzemieślnicze nie innym sposobem wyrosły. Takie n. p. osady jak: Piekary, Rataje, Zduny, itp. niewątpliwie otrzymały nazwiska swoje od pierwotnych kolonij rzemieślniczo — rolniczych, wychodzących z łona klasztorów, albo zamożniejszej świeckiej włości. Nazwiska tego rodzaju, stwierdzające kupienie się pewnego rzemiosła w jednej osadzie, stanowiącej rzemieślniczo-rolniczą kolonję — stwierdzają dostatecznie średniowieczne miana ulic i różnych dzielnic miejskich. Widzimy powszechnie w owych czasach przedmieścia: Garbarze, ulice szewskie, krawieckie, stolarskie, itp. zamieszkałe prawie wyłącznie przez ludność jednego rzemiosła. Nazwy takie, i powiedzelibyśmy rzemieślniczy podział

miast na ulice i przedmieścia, zajęte przez pewne rzemiosła, w wielu miejscach jeszcze do dni naszych przetrwały.

Jakoż kolonje rolniczo-rzemieślnicze, stały się ogniskami życia naszych rzemieślników; w nich gromadziły się wszelkie wyroby rzemiosł i przemysłu, w nich koncentrowała się wszystka wiedza i przywileje przywiązane do pewnego cechu. Miasto zatem średniowieczne, rozwinięte, miało pozór federacji różnych kolonij rzemieślniczych, z których każda była pod zarządem starszyzny cechu, a wszystkie razem zostawały pod zwierzchnictwem miejskiej władzy, bądź bezpośrednio przez samo miasto, bądź patronat szlachecki lub urząd królewski złożonej z reprezentantów mieszczaństwa. Konieczną więc było rzeczą, aby ustawy cechowe potwierdziła władza miejska lub kollator. Co się jednak tyczy ustaw cechowych większych miast, to one bywały potwierdzane przez samego króla. Stąd też cechy takich miast, jak Poznania, Krakowa, Warszawy, Kalisza, Lwowa itp., były wzorem dla ukonstytuowania się korporacyj rozmaitych małych miasteczek. Szły one zawsze za przykładem i wpływem głównych naszych grodów. I tak n. p r. 1657 Jan Kazimierz potwierdza ustawy cechów miasta Kalisza, podczas gdy w tych czasach tworzące się na wzór jego stowarzyszenia rzemieślnicze w Kobylinie, Krotoszynie i innych miastach województwa kaliskiego, zyskują aprobaty kollatorskie.

Wprawdzie szlachta, która często paraliżowała społeczne życie miejskie, niechętnie widziała cechy rzemieślnicze, a nawet uchwałami sejmowemi nastawała na ich rozwiązanie, że tu przytoczymy statut krakowski z r. 1543, grożący wojewodzie stu grzywnami kary, jeśliby nie zniósł cechów, — przecież królowie najczęściej stawali w ich obronie. Mieli oni wzgląd na zasługi rzemieślników, jakie pokładali w obronie miast, w czasie nieprzyjacielskich najazdów. O względach tych pomówimy we właściwem miejscu, a teraz zwrócimy się obecnie do najważniejszych właściwości cechowych, których rozważenie bliższe pokaże nam rzeczywiste znaczenie owych korporacyj.

(C. d. n.)

DO IZY.

Izo! W pieśni twojej tonie
Czarujący urok, wdzięk —
Powiedz, powiedz w której stronie,
Zkąd twa lutnia, zkąd ten dźwięk?

Myśli twoich polot wzniosły,
Twoich pieśni dźwięczny ton,
A z tych darów dziś urosły,
W obraz grozy „Srebrny dzwon."

I „Przekleństwo" groźne „wieszcza,"
W szał boleści, straszny śpiew,
I zwodnicza a złowieszcza
Pieśń „Rusałek," w cieniu drzew.

A „Rok nowy" tam „na niebie"
Słodką szczęścia myślą tchnie,
I „Mój kwiatek," widząc ciebie
Opuszczonym w pączku schnie.

I płynące chmurki mgławe,
Nad ich biegiem myśli rój,
Marzycielki oczka łzawe,
Chcą aniołków ujrzeć strój.

Czyż wymienić jestem w stanie
Ten utworów liczny zbiór?
W myśli twoich oceanie
Śpiewa pieśni dźwięczny chór.

I w pieśń lejąc krople czaru,
Dziś ściągnęłaś znowu dłoń,
By tknąć „Kwiaty nenufaru"
I jeziora zgłębić toń.

Pieśń twa wszystko w sobie mieści,
Słodkie pienia, tęskny żal,
Mord, pożogi, jęk boleści,
I szum cichy srebrnych fal.

Od wód głębi, do skał szczytu,
Po nad stromy rzeki brzeg,
Od otchłani do zenitu,
Myśli twojej rączy bieg.

Izo! kiedyś mnie się zdało,
Że wyrównam pieśni twej;
Dziś mnie tylko pozostało,
Zerwać struny lutni mej!

U stóp twoich ich nie złożę,
Nadto słaby dają dźwięk,
Lecz milczeniem upokorzę —
To ostatni już ich jęk.

W pieśń twą Izo, — życzę szczerze, —
Dalej strumień czaru lej;
A ja tobie dziś w ofierze,
Targam struny lutni mej!

Lwów d. 27 Stycznia 1877.

Sabina.

Gabryel Conroy.

Romans BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XII.

Pojęcia Gabryela o grzeczności wyjaśniają się.

Po odwidzinach pana Dumphy, żadne zdziwienie nie mogło już mieć miejsca w One horse gulch; wiadomo było, że wydarzyć się musi jakiś szczęśliwy wypadek. Najzupełniej wystarczało to, że on, wielki kapitalista, szczęśliwy spekulant, przebywał w One horse gulch! Wiadomość, że dla wyzyskania bogatej nowo odkrytej srebrnej żyły w Conroy Hill ma być utworzone towarzystwo, przyjętą była jako rzecz zupełnie naturalna i sama z siebie wypływająca. Przytem z należytą dokładnością ułożono teorje tego odkrycia.

Że cała rzecz była po prostu wielką spekulacyjną sztuką Dumphyego, że na śmiało skombinowanym planie człowiek ten zamierzał rozbudować One horse gulch, że on to właśnie odkrył rudę, on także teraz, rozwinąwszy wielkie kapitały, rudę ową przerabiać będzie, i to w czysto spekulacyjnych celach, że on już przed pięciu laty wybrał na narzędzie do tego Gabryela Conroy, obdarzonego przebiegłym sprytem, i że dwa i pół miljony Gabryela były tylko przesadną formą wynagrodzenia za oddane usługi (dawszy tysiąc dolarów rocznie, Dumphy wynagrodziłby go sowicie za udzielenie swego nazwiska), że nakoniec obowiązkiem każdego było dążyć do wyzyskania na swoją korzyść obecnych okoliczności przez podniesiesie wartości gruntu, dopóki „ogromna ta bańka mydlana nie pęknie,"—to było teorją jednej połowy mieszkańców One horse gulch.

Po drugiej stronie stało liczne stronnictwo, które najdokładniej wiedziało wcale co innego; — a mianowicie: rzecz cała była czystym wynikiem wypadku. Wiedziało, że p. Piotr Dumphy powołany został do One horse gulch w interesie nie mającym żadnego związku z obecną sprawą, że jednego dnia, gdy z Gabryelem wyszedł na przechadzkę po jego udziale, dostrzegł dziwnie wyglądające tam skały i pomyślał, że „wygląda to jak srebro"; że Gabryel Conroy zaśmiał się na to przypuszczenie, na co Piotr Dumphy, który nie śmiał się nigdy, odwrócił się i zgodnie ze swoją szorstką manierą w prowadzeniu interesów zapytał: „Chcesz pan siedm miljonów za wszystkie swoje pretensje prawne i tytuły własności na te grunta?" Że Gabryel, (przecież dostatecznie wiecie jaki to cymbał!) przystał na to i tym sposobem, moi panowie, pozbawił się majątku, który najniżej szacowany wart jest między braćmi sto pięćdziesiąt miljonów!... Taką była powszechna teorja drugiej połowy mieszkańców One horse gulch, obdarzonych bujną wyobraźnią.

Tymczasem w ciągu następnych tygodni po pobycie pana Dumphy w One horse gulch, miejscowość ta ożywiła się w wysokim stopniu; przy świetle tego słońca i dobroczynnym wpływie jego obecności, nagle wynurzyły się, jakby przez jedną noc, belki i tarcice, słabe składowe części nowopowstających budowli. Na nagich pochyłościach łańcucha wzgórków powstały rozległe zakłady „Szmelcowni Conroy". Skromna jadalnia i restauracja pani Markle, jako nie odpowiadająca potrzebom i nie zgodna z teraźniejszą wielkością One horse gulch, została zaniedbana i powstał wielki hotel. Ale tu napotykam nowe świadectwo postępu miasta, a mianowicie, codziennie wychodzącą gazetę, w której o wszystkich tych rzeczach umieszczane były sprawozdania, odznaczające się liberalnością i elegancją. Tak pisały nasze „Times":

„*Grand Conroy House*, którego otwarcie właśnie nastąpiło, dyrygowany będzie przez panią *Zuzannę Markle*, której talent jako *chef de cuisine* w One horse gulch tak zaszczytnie jest znany, jak i rzadkie jej zalety towarzyskiej uprzejmości i świetnego osobistego wdzięku. W tej swej czynności wspomaganą będzie ona przez posiadającą długoletnie doświadczenie pomocnicę, pannę *Sarę Clark* Pod względem serwirowania jadła, śmiało mierzyć się ona może z każdym najdoświadczeńszym."

Przy tych i innych wymownych dowodach wzrastającego wydoskonalenia publicznego gustu, rychło uznano, że stara brzydka nazwa One horse gulch jest już dla miasta niewłaściwą. Zaproponowano więc zmienić ją na „Silveropolis."

Tymczasem stanowisko technicznego kierownika nowych robót, nominalnie i odpowiedzialnie zajmował Gabryel, chociaż rzeczywiste interesa i czynności wykonawczeześrodkowywały się w ręku jednego przez towarzystwo zamianowanego, przemądrego, sprytnego człowieka, dochodzącego do połowy zaledwie wzrostu Gabryela. Zgadzało się to z życzeniem Gabryela, który nie był przyjacielem próżniactwa, i towarzystwo, pomimo że mocno powątpiewało o administracyjnych jego zdolnościach, rozumnie jednak uznało znaczny jego wpływ na robotników, jaki umiał sobie zjednać przez popularność swobodnego swego demokratycznego obejścia, i ciągłą gotowość w razie potrzeby dopomożenia potężną swą fizyczną siłą. Gdy robotnicy zauważyli, że ogromne powodzenie Gabryela bynajmniej nie wpłynęło na proste jego obejście, stał się on ulubieńcem wszystkich. Przy-

jemność im sprawiało pokazywać obcym tego skromnego, bezpretensjonalnego potężnego olbrzyma, który tak samo jak oni i z nimi pracował, przyczem dodawali, że kopalnia w połowie do niego należy, i że majątek jego dochodzi do siedmnastu miljonów! Gabryel zawsze był skromny i ostrożny, zdawało się, że bogactwo zniewalało go do szukania ulgi w obcowaniu z towarzyszami w mniej pomyślnem znajdującymi się położeniu. Pewne lekceważenie samego siebie, w zachowaniu jego ukazujące się, gdy mówiono o jego bogactwie, utwierdzało wielu w wyżej przytoczonem zdaniu, że jest on tylko narzędziem spekulacji Dumphy'ego.

Chociaż Gabryelowi przyznawano zawsze mały i nieznaczny udział w obecnym rozkwicie One horse gulch, to z drugiej strony znaczącem było dla szczególnych mózgownic członków tej gminy, że żaden z nich nigdy nie podejrzywał żony Gabryela jako współdziałającej. Dawno już poczytano za stanowczo uznane, że przewaga jej nad mężem zawiera się w niewieściem uroku, towarzyskiej uprzejmości i cielesnym wdzięku. Że rozgrzany ożywczemi promieniami powodzenia motyl ten lekko przeleci z kwiatka na kwiatek i w końcu męża swego zostawi w One horse gulch, szukając znośniejszego dla siebie otoczenia — o tem nikt nie wątpił.

— Przepuści ona miljony i sama z niemi przepadnie — tak twierdziła miejscowa krytyka.

Z powodu widocznej Gabryela obojętności wobec takich proroctw, uczuwano ku niemu współczucie niezupełnie wolne od pogardliwości; zupełną jego nieczułość w przedmiocie wątpliwej reputacji żony, poczytywano za symptom zwątpienia zupełnie zawiedzionego męża. Nawet pani Markle, której usiłowania zjednania sobie przychylności Olly, nadzwyczaj zimno były przyjmowane przez młodą dziewczynę — nawet i ta przyznawała, że dom Conroy marnieje pod absolutnemi rządami tej cudzoziemki.

Ale wbrew tym szkaradnym przepowiedniom, pani Conroy nie przepadła i nie okazywała żadnej ochoty do opuszczenia swego małżonka. Nowy dom został wybudowany z właściwą w tym klimacie szybkością, wśród jodłowego lasu Conroy Hill i w najgorętszych dniach letnich czuć było od świeżych jeszcze belek aromatyczną woń leśną. Tam kwitł dobry smak pani Conroy w kwiecistych materjach, ukazywał się zawsze świeżym w białych muszlinowych firankach i pięknych dywanach; tu także, jako wyraz braterskiej miłości Gabryela, sprowadzano fortepian i nauczycielkę dla Olly. Tam bywali najznakomitsi obywatele hrabstwa, a nawet państwowe znakomitości, jak tylko dowiedziano się, że p. Dumphy One horse gulch do pewnego stopnia uczynił towarzyskiem, i przekonano się o zaletach Madame Conroy. „Szanowny" Blank przy sposobności odwidzin swych wyborców w gulch, jadł tam objad i „szanowny" sędzia Beeswinger opowiadał w parlor niektore ze swych najciekawszych historyj; pułkownik Starbottle także widziany był za stołem i ten syn Marsa, nie sam jeden tylko, wyniósł stąd żywy podziw dla wdzięków pani domu, jakowy podziw zamierzał nawet w przyszłości wyrazić wymownemi słowami, ale oprócz tego wyniósł także bardzo pochlebne wyobrażenie o własnych swoich przymiotach.

Sam Gabryel rzadko przekraczał próg tego domu, wyjąwszy by zjeść objad, lub noc przepędzić. Gdy jednak, wskutek szczególnych zaprosin Olly, zdecydował się przyjść tu w innej godzinie dnia, to zasiadał cicho w kącie za werandą, co wyjaśniał tem, że obawia się nadymić krótką swą czarną fajką.

— Nie troszcz się o mnie, Julio, mawiał do swej małżonki, gdy jej kiedy zebrało się na to, że zaniechała wrodzonej swej dumy i z niespokojnym wzrokiem krzątać się koło niego poczynała, — nie troszcz się o mnie; mnie tu bardzo dobrze na dworze. Poza domem czuję się daleko lepiej jak w domu. Zawsze tak bywało. Obawiam się, że dym mógłby osiąść na firankach, a w takim razie... w takim razie—dodawał Gabryel unikając wzroku żony zadowolonej z tego, że uznaje dobry jej gust — w takim razie przyjaciółkom Olly i jej nauczycielce, mogłoby to niespodobać się. Słyszałem, że dym tytoniowy łatwo osiada na strunach fortepianu i stłumia zawartą tam muzykę. Fortepian to ciekawa rzecz. Słyszałem, że jestto rzecz tak delikatna i słaba jak dziecko. Dość popatrzeć na te struny, które tak się plączą jak cugle zaprzęgu w sześć mułów — i wcale mnie nie dziwi, że często plączą się i rwą.

Nie było rzeczą Gabryela bardzo zważać na tryb życia żony; ale gdyby to uczynił w tej chwili, to przekonałby się, że są jeszcze inne instrumenta, których delikatne struny również podlegają wstrząśnieniu i fałszywym dźwiękom.

Ulubionem jego miejscem była dawniejsza chatka, teraz próżna i szybko zbliżająca się ku upadkowi. Na jej sprzedanie nigdy jednak przystać nie chciał, nawet gdy po wybudowaniu dwóch nowych domów stała się niepotrzebnym i niepięknym dodatkiem do jego posiadłości. Chętnie tam przesiadywał przy opuszczonem ognisku, w milczeniu paląc fajkę; nie wskutek sentymentalnego usposobienia świadomie czy bezwiednie w nim przebywającego, ale poprostu wskutek przyzwyczajenia.

Około tego czasu można było także zauważyć, że pewne różnice w uczuciach i smaku, których istnienie napełniało go nieokreślonym smutkiem, powstały między nim a Olly i zwiększały się coraz bardziej, i że wskutek tego powolny rozdział między nimi pożądany był dla jej dobra. Przy rozmaitych sposobnościach oświadczał on to jej z wrodzoną sobie otwartością i bez ogródki. Gdy nauczycielka muzyki prosiła go raz, by się przekonał o postępach Olly, wymówił się od tego z niezwykłą grzecznością, wyraziwszy się ogólnikami, że dla muzyki i tonów brakuje mu potrzebnych pojęć.

— Jestem zdania, powiedział, iż nie powinna ona oglądać się na moje rady. Dziecko powinno przyzwyczajać się obchodzić bezemnie i mego zdania, choćby to nawet rzeczywiście na uwzględnienie zasługiwało.

Innym razem, spotkawszy Olly przechadzającą się ze starszemi i znakomitszemi koleżankami, które zaprosiła do siebie z Sacramento, umknął z drogi w boczną ścieżkę, gdyż nagle przyszło mu na myśl, nie bez bolesnego uczucia, że on ze swem potężnem ciałem i ciężkim trybem myślenia byłby nie właściwością wśród tego młodocianego grona.

Z drugiej strony, może być również możebnem, że Olly, wskutek nowości obecnego swego położenia i wskutek zwiększonego poważania, spowodowanego bogactwem, zapominała coraz bardziej o uczuciach i myślach swego brata, i w dążności swej ku temu, by go przywiązać do siebie, zwolniała nieco. Wiadomo jej było, że dzięki bogactwu posiadał on u kolegów swoich więcej poważania i pewnego widocznego, chociaż może powierzchownego, szacunku. Obok nowego życia, które się jej otworzyło, ciężkie jego i staroświeckie maniery, jako też prostakowatość i brak wszelkiego wykształcenia, które z każdym dniem w większej sprzeczności się ujawniały, coraz też bardziej wrażliwie oddziaływały na nią, podczas gdy przedtem tylko jej kobieca czułość bywała tem dotkniętą. Rozrywki młodego wieku i hałaśliwość nowych wrażeń usuwały wprawdzie powoli to rozdrażnienie; ale zawsze przepaść między nimi z dnia na dzień i z godziny na godzinę zwiększała się, aż nakoniec pewnego dnia wielce uradowaną została oznajmieniem Gabryela, iż przedsięwziął potrzebne środki do oddania jej na pensję do Sacramento.

Postanowienie to Gabryela z drugiej strony zapowiadało, że tem samem robi się krok ku urzeczywistnieniu dawno powziętego zamiaru podróży do Europy z żoną.

Ponieważ dla tak prostego człowieka jak Gabryel niepodobieństwem było zatrzymać te plany w zupełnej tajemnicy, więc Olly dostatecznie znanemi były te zamiary brata; była zatem przygotowana do tego, że Gabryel formalnie jej oznajmi o tem, jak to było jego zwyczajem. Wskutek niewłaściwego położenia, w jakiem się znajdowała, irytowało ją to, że Gabryel lubił rozszerzać się i rozumować nad tem, co w oczach każdego było jasnem i prostem.

Podczas jednej przechadzki wśród wiecznie zielonego lasu, przyszli oni do bardzo podrujnowanego starego domku. Tu Gabryel zatrzymał się. Olly spojrzała pobieżnie na miejscowość i ruszyła ramionami. Gabryel bardzo na nią uważający, zrozumiał co chciała powiedzieć tym ruchem.

— Prawda, że nie jestto żadne piękne miejsce, Olly, powiedział zacierając sobie ręce; ale takie miłe chwile przeżyliśmy tu... razem z tobą, Olly. Czy nie przychodzą ci kiedy na myśl owe ciche noce, gdym powróciwszy z miasta pracował nad łataniem twych sukienek! Czy nie pamiętasz owego stanika, który ci jakby miedzianym drutem pozszywałem?

I zaśmiał się głośno, z całego serca, a jednak zdawało się, że w śmiechu tym drżał cichy fałszywy ton.

Olly także śmiała się, ale wcale nie tak serdecznie jak brat i spojrzała po sobie. Gabryel śledził kierunek jej wzroku. Nie łatwo było w samej rzeczy w postaci stojącej przed nim poznać owe dzikie, zaniedbane stworzenie, które jeszcze przed niedawnym czasem w tej samej chatce u nóg jego siedziało. Nie dlatego tylko, że Olly lepiej była ubrana, że włosy jej były gustowniej ułożone — nie; wydawało mu się, że cała jej istota pod pewnym względem wydoskonaliła się, wyszlachetniała, że posiadała takie przymioty, których on sam nabyć nie mógł.

I gdy tak na nią spoglądał, wydało mu się, że porusza się w nim nieokreślona nadzieja, którą się długo karmił, ulubione jego marzenie: że Olly, gdy wyrośnie, wyglądać będzie jak jego ukochana Gracja i tym sposobem w myślach drugą mu siostrę zastąpi. Zaszedł nawet tak daleko, iż przypomniał krytyczne zdanie Johnsona o takim hypotetycznym wypadku.

— To jest różnica między ludzką a zwierzęcą naturą, powiedział filozoficznie. Jamnik pozostanie zawsze jamnikiem, choć dorosłym psem już będzie; ale z dzieckiem rzecz się ma inaczej— to jest właśnie różnica między rozumem, a instynktem.

Ale Olly, której ta scena przypomniała inną

okoliczność, nie poszła dalej z Gabryelem w jego wspomnieniach przeszłości.

— Czy pamiętasz, Gabie, rzekła, ów wieczór, podczas którego przyszła tu po raz pierwszy siostra Julia i tu, akurat tu, przy tych drzwiach stanęła. Boże! jakeśmy byli zmięszani! a gdyby mi kto wtedy powiedział, Gabie, że ty się z nią ożenisz... jabym go udusiła! — wyrzekła w końcu, pomyślawszy chwilę nad właściwym a silnym wyrazem.

Gabryel, który ze swej strony nie bardzo był zbudowany sposobem, w jaki Olly przypominała sobie przeżytą tu przeszłość, pozbył się naraz całej swej sentymentalności i rozpoczął uwagi swoje o przyzwoitości i grzeczności.

— Nie powinnaś mieć w ustach takich frazesów o duszeniu ludzi, powiedział prędko, to wcale nie właściwe dla młodej dziewczyny. Nie dla tego, że ja się tem obruszam — dodał ze zwykłą swą dobrotliwością,— ale tylko wystawiam sobie... gdyby która z twoich grzecznych małych przyjaciółek, lub nawet nauczycielka twoja usłyszała to?... Usiądź no tu, Olly, mam ci coś powiedzieć.

Wziął ją za rękę i poprowadził do nieociosanego kamienia, który niegdyś służył za próg w starym domku.

— Pamiętasz jeszcze zapewne, ciągnął dalej biorąc znowu jej rękę, — że zawsze zamiarem moim było, gdybym natrafił na żyłę, dwie rzeczy wykonać. Jedną z nich było dać ci wykształcenie, drugą odszukać Grację, jeżeli ta jeszcze jest na świecie. Były rozmaite drogi do tego — ale wszystkie nie podobały mi się. Zawsze myślałem, że gdyby poczciwe dziecko tak blisko nas było, żeby moje wołanie do niej dojść mogło, to ona by mnie usłyszała. Mógłbym porozumieć się z innymi ludźmi, z ludźmi obeznanymi z podobnemi rzeczami, którzy robią sobie z tego rzemiosło, ale nie uczyniłem tego. A wiesz dla czego?

Olly niecierpliwem ruszeniem ramionami dała do zrozumienia, że nie wie.

— Ponieważ ona wobec obcych była nadzwyczaj trwożliwa. Zapewne nie zdołasz przypomnieć sobie. boś była maleńka, jak ona była wtedy trwożliwą. A ponieważ ty wcale trwożliwą nie jesteś, ale raczej zuchwałą i bardzo niepowściągliwą. ponieważ w każdej chwili język masz w pogotowiu i nawet jesteś w stanie w rozmowie wystąpić z własnem swem zdaniem, ponieważ zawsze jesteś wesoła jak czyżyk — więc nie możesz tak dokładnie pojmować naszej Gracji jak ja. Były też przyczyny, których ty nie rozumiesz, Olly. ale przyczyny, które potężnie musiały oddziałać na taką istotę.

— Ty mniemasz. Gabie, rzekła Olly z niewymuszoną swą prawdomównością, że ona wstydzi się tego, że uciekła z kochankiem?

Wobec takiej siły i trafności pojmowania dziecka, Gabryel oniemiał. Mógł on tylko w zdumieniu popatrzeć na małą siedzącą przed nim figurkę.

— No. cóżeć potem zrobił Gabie? opowiadaj dalej, nalegała Olly z niecierpliwością.

Gabryel ciężko odetchnął.

— Ponieważ tedy rozmaite były przyczyny, które Grcję do takiej trwożliwości spowodowały, przyczyny, które były w związku z majątkiem jej zmarłych rodziców, — ciągnął Gabryel dalej, ignorując niegodne przypuszczenie Olly, — więc sądziłem, że najlepiej będzie, gdy ona naprzód przezemnie, a nie przez obcych otrzyma wiadomość. Wiedziałem, że nie była w Kalifornji, bo przecież widziałaby odezwę, którą przed pięciu laty wydałem. Cóż więc zrobiłem? Jest jedna gazeta, w Nowym Yorku drukowana i nazywająca się „Herald“ w gazecie tej jest jedno miejsce, gdzie drukują się uwagi dla ludzi daleko, daleko znajdujących się. Tam czytać można bardzo piękne pisania od ojców do synów, od mężów do żon, od braci do sióstr, którzyby inaczej nie odszukali się, od...

— Od kochanków do kochanek, dorzuciła Olly; wiem o tem.

Gabryel oniemiał ze zdziwienia.

— Tak, ciągnęła Olly dalej, oni nazywają to „wiadomościami osobistemi.“ O! ja wiem o tem Gabie, dziewczęta dostają tym sposobem kochanków!

Gabryel spojrzał w górę na kopułę niebieską. Ale ta nie zaciemniła się i nie runęła. I zasmucił się. Czy warto było mówić dalej? Czy istniało co jeszcze w świecie, coby temu straszliwemu dziecięciu — własnej swej siostrze — mógł powiedzieć takiego, czegoby ona lepiej od niego nie znała?

— Napisałem tedy, ciągnął nie zadowolony dalej, jedną z takich osobistych wiadomości i w taki sposób.

Zatrzymał się, sięgnął do kieszeni i wyjął wycięty kawałek dziennika, który starannie wygładził. Następnie przeczytał z uwagą i z wyrazem, jakiego człowiek doznaje przy czytaniu własnego utworu, co następuje:

„Jeżeli G. C. chce wejść w stosunki ze smutnemi i niepokojącemi się swojemi przyjaciołmi, to wyświadczy tem staremu Gabowi wielką łaskę. Przyjadę i odwidzę ją i Olly także ją przywita. Gdyby G. C. była chorą i nie życzyła sobie przyjść, to niech do G. C. napisze. G. C. znajduje się wraz z Olly w zdrowiu. Wszystko dobrze. Adresować G. C. One horse Gulch, Kalifornja... do dalszych wiadomości.“

— Przeczytaj to jeszcze raz, rzekła Olly.

Gabryel z chęcią to uczynił.

— Czy ta historja z G. C. nie jest nieco poplątana? zapytała praktyczna Olly.

— Nie dla niej, odrzekł prędko Gabryel; właśnie to samo mówiła Julja, gdym jej to „osobiste“ pokazał. Ale i jej odpowiedziałem tak samo jak tobie; dla Gracji nie jest to zagadkowem. Ona wie, że nasze litery początkowe są jedne i te same, a jeżeli obcemu wyda się to dziwnem, to co to szkodzi? To jest właśnie celem takich „osobistych.“ Jakkolwiekbądź wszystko jest jak należy, Olly, gdyż — tu zniżył głos swój do poufnego szeptania przysunąwszy się do siostry — otrzymałem odpowiedź.

— Od Gracji? zapytała Olly.

— Nie, odrzekł Gabryel nieco zakłopotany, właściwie nie od Gracji... to jest... ale oto odpowiedź.

Wyjął z kieszeni małą skórzaną torebkę, jakiej używają górnicy dla przechowywania złotego piasku, a z niej cenny dla niego kawałek papieru.

— Przeczytaj to, rzekł do Olly, odwróciwszy się.

Olly szybko schwyciła papier i przeczytała:

„G. C. Nie szukaj straconej, która nie powróci.

„Obejrzyj się po domu. Bądź szczęśliwy F. A.“ Olly poczęła obracać papier w ręku.

— Czy to wszystko? zapytała żywo, a rumieniec gniewu począł jej krasić policzki.

— Wszystko, odrzekł Gabryel, — krótko i zwięźle... to Gracji maniera...

— W takim razie muszę powiedzieć, że jestto w najwyższym stopniu szkaradnie, zawołała Olly uderzając rączką po kolanach, — i to samo powiedziałabym temu F. A. — temu Filipowi Ashley gdybym go spotkała.

Szczególny wyraz, niewłaściwy spokojnemu człowiekowi, prześliznął się po twarzy Gabryela, gdy wyciągał rękę i brał kartkę od Olly.

— Dlatego też ja jadę, rzekł prosto.

— Jedziesz? zapytała Olly.

— Jadę... do Stanów, do Nowego Yorku, odpowiedział; Julja i ja. Julja to mądra kobieta na swój sposób, chociaż nie w twoim rodzaju, dodał; ale zna się na tem. Umie obracać językiem, ma plan i oględność w sprawie, którą do rąk weźmie. Sądzi ona, że naturalnie taki bystry jegomość musi się znajdować w Nowym Yorku. I dlatego chciałem z tobą pomówić, Olly... dwie tylko rzeczy mogą mnie z tobą rozdzielić, a jedną z nich jest właśnie to, o czem właśnie mówiłem, to jest obowiązek mój względem Gracji; drugą mój obowiązek względem ciebie. Niema co myśleć o tem, byś ty się ze mną włóczyła po świecie, kiedy masz do czynienia ze swojem wychowaniem. Pozostaniesz więc w Sacramento w najlepszej szkole pierwszej klasy, dopóki nie powrócę. Czy słyszysz mnie, moje kochanie?

— Słyszę — odrzekła Olly utkwiwszy oczy w brata.

— I nie powinnaś martwić się o mnie. I najlepiej byłoby, gdybyś o tutejszem mieście i ludziach mogła zapomnieć. Bo musisz zostać damą, i brat twój Gab nie chce by temu co na drodze stawało. A temu mądremu panu powiem. „Nie powinieneś tej rodziny według mnie sądzić, ponieważ mężczyźni tej rodziny są, że tak powiem, przeciętnie słuszni i silni, i dlatego też właśnie są oni, że tak powiem, tam w górze nie szczególnie mocni — dodał podnosząc rękę ku głowie, — ale jest tam jedna mała dama w szkole w Kalifornji, która właśnie jest tem czem Gracja byłaby, gdyby mogła chodzić do szkoły. Jeżeli z tą zechcesz rozmówić się, to ona może każdego czasu powiedzieć co ja myślę.“ A potem powiozę ciebie do niego, Olly, i naturalnie, że liczę na to, że ty brata twego pod względem astronomji, gramatyki, arytmetyki i jak się tam te wszystkie rzeczy nazywają, nie zawstydzisz.

— Ale dlaczegoż zadawać sobie trud i szukać Gracji, jeżeli ona mówi, że nie chce wracać? zapytała Olly krótko.

— Nie należy takich „osobistych“ czytać tak jak gdyby to było coś jasnego i wyraźnego, Olly, są to swego rodzaju zagadki... rebusy. Tu się mówi, że G. C. nigdy nie powróci. No, a jeżeli przypuścimy, że G. C. ma inne nazwisko... rozumiesz?

— Może poszła za mąż! zawołała Olly klasnąwszy w ręce.

— Tak jest, odrzekł Gabryel, zarumieniwszy się, ja tak myślę.

— Ale jeżeli przy tem wszystkiem to nieoznacza Gracji, rzekła znowu Olly.

Gabryel zawahał się na chwilę.

Ale Julja mówi, że to nie może znaczyć nic innego, rzekł z powątpiewaniem.

Olly spojrzała na Gabryela, jakby chciała powiedzieć, że dowodzenie to nie bardzo jest przekonywające.

— A co to ma znaczyć owo „obejrzyj się na małą Olly; czyż nie masz jej w domu?“ A to

bardzo podobne do Gracji, żeby myśleć naprzód o innych.

— Więc dobrze, rzekła Olly, — ja zostanę tu, a ty jedź. Ale co ty poczniesz bezemnie?

Gabryel nie dał na to odpowiedzi. Zachodzące słońce zajrzało mu w twarz i oślepiło go; ukrył swe oczy w złocistych lokach Olly i główkę dziecka objął obiemi rękami. Po chwili rzekł.

— Czy chcesz wiedzieć, Olly, dlaczego tak mi jest miłą ta stara chata i to stare ognisko?

— Chcę—rzekła Olly cicho, rada że rozmowa zwraca się ku innemu przedmiotowi.

— Nie dlatego, Olly, że tyle dni razem z tobą przesiedzieliśmy tu, bo o tem nie chcę myśleć; ale dlatego, że na tym wzgórzu pierwszy raz zatknąłem mój kilof. I że z odbitych wtedy odłamów skały zbudowałem komin. Ludzie myślą, że ja tam, gdzie na srebro natrafiłem, po raz pierwszy uderzyłem kilofem. Tam nic nie było. I tak nieraz myślę, Olly, że ja wtedy od mego pierwszego uderzenia kilofem miałem więcej wygody, aniżeli tam w srebrze znajdę. Ale chodź, Olly, chodź! Julja będzie się dziwić gdzie jesteś.— A tam drogą idzie jakiś obcy. Mnie się zdaje, że niedość przyzwoicie wyglądam, ażeby przeprowadzać taką jak ty damę. Chodź! Olly, chodź, on nie powinien wiedzieć, że jesteśmy sobie krewni. Chodź!

Pomimo pospiechu Gabryela, ażeby nie spotkać się z nieznajomym idącym jedyną drogą po pochyłości wzgórza, ten już dostrzegł ich i zwrócił z pytającym ruchem. Więc Gabryel znalazł się zmuszonym stanąć; nie uczynił jednak tego dopóki Olly lekko nie uścisnął za rękę.

— Czy nie możesz mi pan wskazać drogi do hotelu... sądzę, że Grand Conroy house zwanego? zapytał nieznajomy grzecznie.

Był on starannie przyodziany w staromodny surdut pozapinany, w lakierowanych butach i czystym białym kołnierzyku. Przemawiając do Gabryela dotknął się wysokiego czarnego kapelusza, jaki w tamtym kraju jest specjalnem nakryciem głowy duchownych i graczów.

Niezadowolenie Gabryela zwiększyło się jeszcze gdy przy wymienieniu nazwy hotelu, Olly wysunęła, się naprzód jakby wyzywająco.

— Niech pan idzie tą ścieżką rzekł, aż do stóp pagórka, tam wyjdziesz pan na główną drogę i nią dostaniesz się do hotelu. Towarzyszyłbym panu kawałek, ale mam polecenie od krewnych tej młodej damy, bym ją do domu odprowadził.

I ażeby nie dać Olly czasu na zaprzeczenie temu, nim ta opamiętała się ze zdziwienia, szybko pociągnął ją w cień wiecznie zielonych jodel Conroy-Hill.

Koniec tomu drugiego.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

(*Ciąg dalszy.*)

Frontowy budynek zawierał sale i pokoje zamieszkałe przez członków rodziny. W dwóch bocznych korpusach mieściła się służba i składy produktów handlowych; za tem ciągnęły się dopiero folwarczne zabudowania, stajnie na konie, obory na bawoły, krowy, woły, kozy, wielka stodoła dla słoni, buda dla psów, lamusy na sprzęty rolnicze, ze dwadzieścia małych domków i wielki obszar na ogrody warzywne. Rozkład był dobry, budynki nie cisnęły się skupione, owszem przestrzeń była szeroko zachowana, w każdym zakątku widać było przewodniczącą myśl porządku i komfortu.

Płynęliśmy coraz szybciej, pchani energicznie zdwojonemi uderzeniami wioseł. Na brzegu widać było liczne grono oczekujące naszego przybycia. Najbliżej przystani stała żona Shabundera w otoczeniu trzech córek; z tych jedna miała dziesięć, druga dwanaście, najstarsza zaś panna na wydaniu, liczyła czternaście wiosen. Chorągwie rozstawione pomiędzy belkami, podtrzymującemi przyrządy do sztucznych ogni, rozwijały się pompatycznie poruszane wiatrem; wąskie wstęgi zdobiące wszystkie maszty powiewały wesoło w powietrzu. Za tą dekoracją muzyka wysilała się na ogłuszającą serenadę. Wielki dzwon, bębny, cymbałki, cały komplet instrumentów z drzewa i miedzi, wydawał o ile mógł najpotężniejsze głosy, tworząc zaiste piekielną muzykę.

Zaczynało zciemniać się, gdyśmy dobili do brzegu. Pani domu przyjęła nas z otwartą gościnnością, uściskała żonę moją i biorąc ją pod ramię, poprowadziła ku domowi. Młode dziewczęta z naiwnem przymileniem zbliżyły się, i każda dźwięcznym głosikiem zawołała z kolei:

— Jesteś pani przyjaciółką mamy, a zatem i naszą. Pozwól się uściskać.

Gdyśmy przechodzili w pośród tłumu ludzi obojga płci, którzy ze wszystkich folwarków zeszli się na tę uroczystość, przed Shabunderem ukląkł jakiś człowiek całując go w rękę. Był to wysłany naprzód poseł z wiadomością o naszem przybyciu.

— Wstań, jestem zadowolony z ciebie, niestraciłeś czasu na darmo, — rzekł Shabunder łaskawie. — Wtych dniach będę cię potrzebować, pamiętaj być w pogotowiu. Idź teraz..

Posłaniec powstał i zmięszał się z tłumem. Shabunder obócił się do indywiduum, które od czasu, gdyśmy na ląd wysiedli, wciąż za nim postępowało.

— Cztery rupie gratyfikacji dla tego człowieka... A ty, czy wypełniłeś moje rozporządzenia?

— Najściślej Maha.

— Dobrze... trzeba ugościć mieszkańców wyspy i przenocować ich, skoro się tu zeszli. Jutro odeszlesz wszystkich do domu, jako też służbę folwarczną; niech się zabiorą do zwykłej pracy. Domownicy tylko powinni być gotowi na każde zawołanie.

— Twoje rozkazy będą spełnione Maha.

— Nic się tu nie stało w mojej nieobecności?

— Czarny — Duży uciekł.

— Kiedy?

— Mija już czwarty dzień.

— Cztery dni i dotychczas nie został zprowadzony? Jestem wcale niekontent z ciebie. Miesiąc temu umknął Trębacz. Dwa słonie stracone w tak krótkim czasie, dowodzą niedbałości twojej lub podwładnych twoich.

— Ekscelencjo, budynek na słonie jest za ciasny... Zresztą Maha sam się przekonasz, że tu nie było w tem niczyjej winy.

— I cóż więcej?

— Zanim umknął, o mało nie zdusił swego parobka o ścianę klatki.

— Makambu! Człowiek ten może niebezpiecznie zraniony?

— Nie Ekscelencjo.

— Zwolnisz go od wszelkiego zajęcia, niech go pielęgnują i dostarczyć mu czego tylko zapotrzebuje.

— Dobrze Maha.

Wstąpiliśmy na terasę, muzyka z galerji zagrała marsza, nieoszczędzając wcale instrumentów, co było bardzo do życzenia, poczem gospodyni domu kazała nas odprowadzić do przeznaczonych nam pokoi.

Wcale miłą dla nas była niespodzianka, gdy nam wskazano umeblowany gustownie apartament: asesor miał swoje oddzielne pokoje, służba wygodne pomieszczenie. Shabunder z częstych swych wycieczek do Rangun, jak niemniej i ze styczności, w której pozostawał z wyższemi osobistościami prowincji Pegu i Basseiu, odniósł dokładną znajomość zwyczajów angielskich, i wprowadził do swego domu ten komfort, z którym tak przyjemnie spotkać się Europejczykowi na kontynencie azjatyckim. Przyprowadziwszy do niejakiego porządku nasze ubiory, zeszliśmy do sali, gdzie nas czekała wieczerza, podana z wykwintnością i dobrym smakiem; tej nie miałbym był nic do zarzucenia, gdyby nie muzyka, przerywająca nieharmonijnym hukiem ożywioną rozmowę. Przy końcu sztuczne ognie, ulubiona rozrywka Birmanów, rozwidniły noc bukietami jaśniejącemi, gwiazdami, racami. Pominąwszy okazałość zastawy stołowej, byliśmy sans facons, niby w kółku familijnem, bo oprócz domowników, asesora, mnie i żony, nikt więcej nie siedział przy stole.

Córki Shabundera były prawdziwie urocze prostotą mowy i zachowania. Nęciło w nich coś naiwnie filuternego, świeżość życia niby odblask wiosennego poranku. Swobodna wesołość odbijała się w każdem poruszeniu, a dziecięca pustota umiarkowana dobrem wychowaniem, nadawała im powab nieokreślony. Nie można powiedzieć, by były ładne w całem słowa tego znaczeniu, obie młodsze zbyt przypominały pochodzenie birmańskie: oczy wąskie, policzki wystające, nos spłaszczony. Za to były piękne czarem młodości, krasą zdrowia, żywością spojrzenia. Usta pełne, kształtnie wykrojone, ukazywały zęby nieposzlakowanej białości, dwa łuki ciemne podosiły blask oczu, cera zrumieniona słońcem jaśniała świeżością i młodzieńczą krasą. Ręce i nogi małe, kształtne, uwydatniały niewymuszoną zgrabność ruchów. Starsza przypominała nieco typ grecki a więcej może rasę kaukazką w jej pierwotnej piękności. Nos orli, ładny profil, usta maleńkie, źrenice duże i ciemne, czoło gładkie, nad którem włosy osadzone niby diadem stroiły głowę w krucze warkocze, wszystko to składało się harmonijnie na ponętną piękność dziewiczą.

Żona Shabundera robiła wrażenie jednej z owych duchem silnych niewiast biblijnych. Musiała być kiedyś bardzo piękna, z czego dziś pozostała jej majestatyczność postawy i ruchów. Z umysłem trzeźwym, jasnością poglądu, i bystrem pojęciem, łączyła niezrównaną miłość i pieczołowitość dla rodziny. Żywa, skrzętna, ciągle zajęta, sama doglądała wszystkiego, nie gardząc przeróżnemi zajęciami gospodyni. Przy nieugiętej stanowczości umiała być dobrą, energja u niej nie wykluczała sprawiedliwości, poczucie obowiązku — pobłażania. Względy okazywane mężowi były nacechowane świadomością własnej godności: znała wartość swoją. Zdaje mi się, że nie jestem w błędzie, przypisując jej wpływom zakrój wielkich projektów, które Shabunder cicho i powoli rozwijał. Ona pomagała mu, wspierała radą i działała w swoim zakresie nie szczędząc trudów. W ogóle Birmanki są głęboko przejęte

uczuciem patrjotycznem, a kraj posiadający takie kobiety, może chwilowo ugiąć się pod brzemieniem klęsk, ale z nich zawsze powstanie.

W stroju matki i córek przeważała skromność dobrego gustu, obok wyszukania i bogactwa ubioru. Dolna częśc sukni była z gładkiego popielatego jedwabiu, z pasem kolorowym u dołu; *kabaya* czyli kaftaniczek bez kołnierza i rękawków, z tkaniny wyrabianej z dzikiego ananasu, dla matki z ciemnego aksamitu, obciskał figurę. Na nogach zgrabne papucie utkane z surowego *china grass*, były spięte sprzączkami z perłowej macicy. Po nad kostką i około ramienia okręcały się obrączki wyrznięte z muszli zwanych *chauk*, bajecznej ceny. Braselety z dużym rubinem zdobiły obie ręce, na szyi sznur korali, w uszach zamiast szkaradnych złotych cylindrów, jakie z upodobaniem wieszają sobie zwykle Birmanki, które przyczyniają się do niepomiernego wykształcenia zewnętrznej części ucha, wszystkie trzy miały duże bąble z najpiękniejszych pereł. Nad czołem zwieszał się djament przytrzymywany rzędem ametystów. Strzała z korali ujęta w złoto, trzymała zwoje włosów, a wachlarz z *vetki-veyer* napełniającej wonią i świeżością powietrze, dopełniał stroju. Nie było tam żadnego sztucznego dodatku, żaden proszek nie przyćmiewał naturalnej swieżości; roślina *henne* nie czerniła brzegu powiek, sok z *breeku* nie dawał sztucznej barwy ustom, ani wyciąg z aloesu nie żółcił kończyn palców.

Rozmowa stawała się coraz więcej ożywiona, doskonałe wino dodawało humoru, panie zajmowały się drobiazgami toaletowemi, do której to rozmowy zostałem i ja wciągnięty, zmuszony podtrzymywać kulejące frazesy mojej żony, mało jeszcze biegłej tak w angielskiej jak birmańskiej mowie. Shabunder z asesorem omawiali sprawę opodatkowania. Przy końcu wszedłszy na tor poufały, wszczął kwestję ustalenia przyszłości dzieci.

— Mój syn — rzekł — będzie miał dość piękny majątek, to też życzyłbym sobie widzieć go ożenionego z Europejką. Co do córek, z tych każda dostanie po 500.000 franków, nieliczac co im później przypadnie... młodsze pójdą za Birmanów, dla starszej chciałbym za męża Anglika.

Przy tych słowach asesor, może bezmyślnie rzucił spojrzenie na ładną Birmankę, ona spuściła oczy i mocno się zarumieniła.

Deser sprzątnięto i podano nam kawę. Wtem huk petardy oznajmił początek sztucznych ogni. Żeby nie obrazić miłości własnej miejscowych artystów pirotechnicznych, wstaliśmy od stołu. Z galerji jednak zanadto huczne akordy wściekłej muzyki, wypędziły nas na trawnik. Birmani rozumieją się nie źle na wszelkiego rodzaju stucznych ogniach. Były one w używaniu u nich tysiące lat przed rozgłoszeniem tej tajemnicy około połowy XIII wieku przez Rogiera Bacona w jego „Opus majus", i przed dociekaniami Bertholda Szwartza, tego mniemanego mnicha, któremu nasi historycy każą ginąć wskutek eksplozji, kiedy teraz dowiadujemy się z autentycznego manuskryptu, znalezionego świeżo w bibljotece cesarza Wilhelma, że domniemany mnich umarł najspokojniej w późnym bardzo wieku śmiercią naturalną, w małem mieście niemieckiem, którego był burmistrzem. Oto jak pisujemy historję.

Festyn był kompletny. Wielki dzwon, cymbałki i inne instrumenta dokazywały cudów, że nie pękły. Ludność oczarowana długo przypatrywała się ogniom i puszczanym latawcom, którym do ogona przyczepione lampki kolorowe, nadawały fantastyczności. Wróciliśmy do naszej kawy, ponętniejszej niż wszystkie fajerwerki birmańskie. Shabunder ożywiwszy się rozprawiał szeroko o swoich projektach przemysłowych. Obiecał wtajemniczyć nas we wszystkie gałęzie swojej eksploatacji, zabrać nas na polowanie i pokazać rybołostwo. Wreszcie dodał, że znając odległość stacyj, które gubernator ma przebiedz, może nas zapewnić, że nie powróci przed upływem dni sześciu. Tak więc mogliśmy spędzić razem jeszcze dni cztery. Zakończywszy na tem rozmowę rozeszliśmy się na spoczynek.

Dumny, i to słusznie, z ulepszeń zaprowadzonych usilną pracą w różnych gałęziach przemysłu krajowego, Shabunder z uczuciem miłości własnej przebiegał pokazując nam swoje warstaty, fabryki i stada. Każdy z nas w tym przeglądzie znalazł przyjemność; Shabunder okiem właściciela sprawdzał porządek, asesor w przyjemny sposób kompletował edukację urzędnika skarbu, a ja zaspokajałem nigdy nienasyconą żądzę wiedzy, chęć widzenia i badań.

W jaki sposób ojciec Shabundera położył kamień węgielny tej olbrzymiej fortuny? W bardzo prosty, korzystając z biegu wypadków.

W epoce oddalonej, której ślady dają się jednak odnaleść między mieszkańcami najdawniej osiedlonymi w tych stronach, organizacja gmin lenniczych, niezależnych jedna od drugiej, a używających tychże samych praw, i poddanych jednej najwyższej władzy, musiała być główną formą rządu tego kraju. Naczelnik plemienia miał swoje przywileje, obywatele swe prawa; lecz nie długo dwa plemiona zlały się w jedno, a wtedy naczelnik rozszerzył swoje przywileje ograniczając wolność obywateli, i nazwał to nadaniem praw. Ztąd urosło samowładztwo, przechodzące w despotyzm. Gdy się przyjdzie zastanowić nad życiem ludów, ich dzieciństwem, wzrostem, stopniowem rozprężeniem i zagładą, zapytujemy się z trwogą czy tak zawsze będzie? W Indo-Chinach liczne tradycje dowodzą, że kiedyś kraj ten posiadał liberalne instytucje, opiekuńcze prawa, sędziów popularnych i zwyczaje, zabezpieczające używanie własności każdemu członkowi gminy. Powoli wsie podległy władzy miast, pojedyńcze plemiona zlały się w jedność, odosobnione prowincje tworzyły całość państwa. Natenczas, jak to wszędzie bywa, zaczynają się tworzyć partje, duch rozterek i niezadowolenia grupuje się w stronnictwa, ludzie dążą do obalenia jakimkolwiekbądź sposobem praw istniejących, a tak wszczynają się rozruchy i krew się leje. Wojna domowa wre w najlepsze, palą i grabią, niszczą, emigrują, coraz niżej upadając i w nędzę brnąc coraz większą. Z tej chwili korzysta dopiero obca władza, i po upadku następuje niewola. Oto jakim porządkiem przechodzą i gasną narodowości.

W samej początkowej organizacji gmin, małe osady w Indo Chinaah uległy władzy większych, pozostawiając sobie li właściwości organizacji wewnętrznej. Dobra były wspólnie administrowane; z tych naczelnicy brali część sobie przynależną, na urzędników przez lud obieralnych szła płaca z góry ograniczona, każdy zaś z prywatnych ludzi odbierał wynagrodzenie, stosowne do usług wyświadczonych gminie. W takim ustroju własność osobista nigdzie prawie nie istniała, z wyłączeniem książęcych domów, które pomału weszły w rutynę uważania, tak rzeczy jak ludzi, za swoją wyłączną własność. Stan ten, wzmocnił się przez rozterki domowe, rewolucje, najazdy, zmiany dynastji, i pogorszył do tego stopnia, iż monarchowie ogłosili się panami absolutnymi nad wszystkiem co się znajduje w ich państwie, czy to ruchomość, nieruchomość, rzecz lub człowiek. I do dziś dnia nawet, uprzejmością z ich strony jest pozostawić w spokojnem posiadaniu gruntu właściciela, który go uprawia i domu, który zamieszkuje. W żadnym kraju własność nie spoczywa na tak kruchych podstawach jek w Birmanji. Wszystko tam potrzeba dopiero stworzyć: archiwa, kataster, parcelacje. Głośne uznanie jest jedyną podstawą posiadania; dla tego przy najmniejszem wstrząśnieniu politycznem, rząd, raczej monarcha, spieszy grabić bez wyjątku majętności tych, co polegli lub wyemigrowali, nieomieszkując jednocześnie nakładać konfiskaty na skompromitowanych. W niższym Pegu własność terytorjalna miała jeszcze mniej podstawy niż w środkowych krajach. Częste kłótnie między królami Siamu, Pegu, Arakanu, Proomu, Paganu i Avy, również i perjodyczne wylewy były tego powodem. Dla tego osoby wzbogacone przemysłem nielokowały bynajmniej pieniędzy w ziemi, wolały składać je w kapitały lub robić zbiory kosztownych przedmiotów. Tak samo postępował i ojciec Shabundera, kapitalizując dochody przy swoim urzędzie naczelnika polowań i rybołóstwa; ale od r. 1852 kiedy Anglicy ostatecznie owładnęli prowincję Pegu, widząc, że własność ziemska przedstawia niejaką rękojmię, Shabunder nabył za bardzo nie wielką sumę kawał ziemi z przekonaniem, że włożony kapitał hojnie mu się oprocentuje. Czynny, przedsiębiorczy i energiczny, wkrótce ujrzał pracę swoją kwitnącą. Wspierany usiłowaniami żony, zachęcany przez Anglików, którzy z upodobaniem patrzali na wznoszący się przemysł, nie szczędził ni pracy, ni pieniędzy, aby popchnąć dzieło wszelkiemi siłami, i dziś jest już w przededniu zrealizowania ogromnych zysków z handlu perłami, koralem, muszlami i drogiemi piórami, jak nie mniej z produktów solnych, z rybołostwa, z wyrobów trzcinowych, z lianrotangu, bambusu, wosku, miodu i wielu innych przedmiotów wymiany.

(C. d, n.)

O potrzebie rozwoju przemysłu małego

czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Dla ruchu przemysłowego w ogóle, zbliżała się tymczasem nowa era na całej kuli ziemskiej, która lotem błyskawicy miała zbliżyć kraje i ludy. Gdy pierwszy świst parowej maszyny był u nas dzwonem pogrzebowym dla dotychczasowego przemysłu domowego, w innych krajach na Zachodzie, świst ten był hasłem do zorganizowania podziału płacy, i zdobywania dziedziny dobrobytu wstępnym bojem. Niedziw więc, że kto nie pojął i nie zrozumiał tego hasła, lub gdy w całym kraju jak u nas, brakowało warunków możebnej spójni, że tam nie można się było utrzymać nawet na odpornem stanowisku; znaczna część naszego przemysłu domowego runęła, lub zeszła do minimum.

Obecnie o wielu gałęziach rękodzielnictwa, zaledwie tradycja w magistrackich aktach pozo-

stała; te zaś, które się utrzymały i wegetują po miastach, są raczej warstatami reparacyjnemi.

Zmiany w ustawach przemysłu domowego, o ile dla innych krajów stały się zbawiennemi, oddając swobodę chętnej pracy, przez wyzwolenie jej z monopolu cechów; o tyle u nas musiały się stać narzędziem zguby, bo nie pomyślano o tem, aby pracownik mógł być odpowiednio do tych ustaw naukowo wykształconym. Ustawy o wolnem wykonywaniu przemysłu domowego stworzyły nam przeto legje partaczów, otwierając równocześnie śluzy zagranicznemu zalewowi.

Dawniej rzemieślnik, gdy został po kilkoletniej nauce wyzwolony, brał kaletę na plecy i szedł „w świat na wędrówkę.“ aby nabrać najobszerniejszej wiedzy w swojem rzemiośle; za powrotem zaś był zmuszony okazać czynem, ażali odpowie zadaniu naczelnika warstatu czyli majstra.

Dzisiaj nauczywszy się zaledwie deskę oheblować, otwiera warstat stolarski; umie ukuć gwóźdź lub niedołężną podkowę, zostaje kowalem i ma własną kuźnię. Naturalnem następstwem tego być musi, że konsumenci pracy, płacąc drogo i doznając najsmutniejszych zawodów, rzucają się w objęcia przemysłu zagranicznego, który wysysa jak pijawka żywotne siły kraju, wprowadzając nas w system gospodarstwa rabunkowego.

Niechaj mię nikt nie posądza, abym tem orzeczeniem marzył o powrocie do harcopu cechowego, który już dziś jest niemożebnym, bo system przemysłu domowego wszystkich krajów na to nie pozwala. Zadaniem mojem jest, wykazać potrzebę jak najspiesznięjszego zorganizowania i podziału pracy w przemyśle domowym, wbrew wszelkim nieuzasadnionym głosom, które twierdzą, że „to się u nas udać nie może.“

Głosy takie, będące tylko echem epidemicznego u nas lenistwa, dowodzą jedynie próżni umysłowej, braku prawdziwego patrjotyzmu, i okazują zamiłowanie w kramarskich zyskach bez pracy. Jak głęboko obłęd ten wsiąkł w nasz organizm, mieliśmy smutny dowód na ostatniej większej wystawie rolniczo-przemysłowej w Stanisławowie w r. 1875, gdzie kramarskie zagraniczne przedmioty nagradzano medalami zasługi, pomijając jakby z rozmyślnem lekceważeniem krwawą pracę przemysłu krajowego. Że tak się działo, odsyłam czytelnika do wiedeńskiej „Gewerbe Zeitung,“ pod redakcją I. C. Ackermana, z tegoż czasu.

Takie postępowanie doprowadziło do tego, że dziś nawet znaczniejsze pracownie przemysłu krajowego, które posiadając wszelkie warunki rozwoju, mianowicie po większych miastach jak Lwów, Kraków, mogły stać się ogniskami przykładu, ograniczyły się na wyrobach, które z natury swej muszą być na miejscu wykonywane. Natomiast przemysłowcy ciągną zyski z pozakładanych kramów, napełnionych zagranicznemi wyrobami, które z rzadką bezczelnością wydają za własną, miejscową pracę.

Nie mało mamy dzisiaj takich przykładów, że np. majster, zdolny blacharz, lub innego rzemiosła, wstydzi się już przypasać fartuch lub młot ująć, gdyż mu się zdaje, że powinien zostać fabrykantem wielkiej polityki, Demostenesem stolicy, lub drugim Bismarkiem.

Takie to niedołęztwo moralne uboży cały kraj, i przerabia nas na kolporterów przemysłu obcego. Czy to nie jest prawdziwą zgrozą, że nawet nasze poczciwe szewstwo, które chociaż Paryżowi nie dało sobie wyrwać z rąk palmy pierwszeństwa, dziś już do tego zeszło, że po całym kraju kramy zapełnione najlichszemi wyrobami zagranicznemi, uzyskały nietylko możność bytu, lecz nawet cieszą się dobrem powodzeniem?

Z jakąż boleścią patrzy na swych następców duch Jana Kilińskiego? Na takie tory wchodzi krawiectwo i wiele innych rzemiosł, niezbędnych w codziennem życiu.

Setki, tysiące kobiet giną z nędzy w domu, gdy tymczasem krocie wychodzą za granice kraju za szytą bieliznę, roboty włóczkowe i tym podobne rzeczy.

Słynne nasze rymarstwo i siodlarstwo na co zeszło, co się z niem stało? Oto zabił je również duch kramarzenia obcą produkcją; powstało kilku małych krezusów, a setki rodzin zmarniały, bo nasi siodlarze i rymarze zeszli na łataczy starzyzny.

Mieliśmy sławnych i wielu rusznikarzy; zniknęli, a ci, co pozostali, łamią się codziennie z losem o kawałek powszedniego chleba. Złotnictwo, ślusarstwo, brązownictwo, mosiężnictwo, tokarstwo, stolarstwo, białoskórnictwo, i wszelkie inne rzemiosła nie żyją — ale konają!

W chwili gdy to piszę, przeszło 150 czeladników szewskich jest we Lwowie bez roboty. Czy w zimie słyszano o czemś podobnem! to tylko czeladnicy; a iluż ojców rodzin stoi po za nimi! Nie daj Boże, aby się nie sprawdziło, ale jeżeli z dnia na dzień odkładać będziemy sprawę przemysłu domowego, to za kilka lat, jarmarki i targi małomiasteczkowe zapchane będą obuwiem zagranicznem dla ludu! (C. d. n)

Kronika naukowa.

Z pośród licznych zastosowań, jakie fotografja w nowszych czasach do celów umiejętnych znalazła, zasługuje także na uwagę użycie jej do uwidoczniania tonów, czyli raczej drgań, które ciała wydające dźwięk wykonują. Jeżeli do przedstawienia krzywic drganiowych Lissajous'a użyje się światło słoneczne i obrazy świetlane wytworzy na płycie przyrządzonej do fotografji, to można figury Lissajous'a odfotografować.

Drgania widełek strojowych można oprócz tego tym sposobem odfotografować, że się końce widełek przewierca, albo na obydwóch końcach widełek przewierconą czarną płytką mikową przytwierdza, i przez dziurkę w tej płytce promień światła na płytę fotograficzną przepuszcza. Płytkę tę przesuwa przyrząd elektro-magnetyczny w $^1/_4$ sekundy przed małą kamerą obskurą. Jeżeli płytka fotograficzna i widełki strojowe są w spokoju, to promień słoneczny przechodzący przez dziurkę w widełkach albo w płytce mikowej odfotografuje na płytce fotograficznej punkt. Jeżeli widełki smyczkiem wprawione zostaną w drgania, wtenczas na przemian raz wyższa, to znowu niższa część promienia przechodzi przez dziurkę w widełkach, ponieważ związka promieni jest szerszą niż ta dziurka. Na płytce fotograficznej odfotografuje się w tym razie linja pionowa. Gdy zaś płytka fotograficzna wprawi się w ruch, przemienia się ta linja pionowa w poziomą krzywicę falową, o tylu wypukłościach, ile drgań widełki strojowe w czasie przesuwania się płytki fotograficznej przed kamerą obskurą wykonały. Jeżeli np. widełki wydały ton „małe c,“ który wymaga 128 drgań w sekundzie, to na płytce przesuniętej w $^1/_4$ sekundy przed kamerą obskurą odfotografuje się linja falowa, mająca 32 wypukłości.

W podobny sposób można także szereg tonów odfotografować, jak to okazuje następujące doświadczenie. Do struny monokordu w połowie jej długości przytwierdza się lakiem cienki pręcik z trzciny, na którego końcu jest czarna przedziurawiona płytka mikowa. Przez dziurkę w tej płytce przepuszcza się promień światła słonecznego do kamery obskury, gdzie się drgania struny poruszonej w taki sam sposób fotografują, jak w doświadczeniu poprzedzającem. Jeżeli nad skrzyneczką resonancyjną rozepnie się kilka strun i do każdej s runy przytwierdzi się przedziurawioną czarną płytkę mikową, tak aby płytki nie były w równej wysokości nad strunami, to gdy wszystkie struny wydadzą równocześnie tony, można te tony za pomocą kamery obskury odfotografować. Fotografja tych tonów przedstawia tyle krzywic falowych, ile strun zostało poruszonych, a każda krzywica ma tyle wypukłości, ile drgań odpowiednia jej struna w ciągu danego czasu wykonała.

* * *

Widma planet były już od dłuższego czasu przedmiotem badań astronomów i fizyków. Wyniki tych spostrzeżeń różniły się jednak mocno jedne od drugich. Okoliczność ta spowodowała dra Vogla w Berlinie do robienia nowych spostrzeżeń, których rezultaty w krótkości podamy. Widma planet okazują te same barwy, jak widmo słoneczne, oprócz tego zawierają one liczne linje Fraunhofera, co dowodzi, że światło planet jest odbitem światłem słonecznem. Widmo Merkura okazuje 12 do 14 linij znajdujących się także w widmie słonecznem, oprócz tego jednak także kilka innych, które się w widmie słonecznem tylko wtenczas okazują, gdy słońce jest nisko nad horyzontem, i wtenczas w skutek pochłaniania światła słonecznego przez atmosferę ziemską powstają. Linje te w widmie Merkura wskazują istnienie atmosfery na tym planecie, która to atmosfera podobnie pochłania światło słoneczne, jak atmosfera ziemi. Wenus daje ze wszystkich planet najjaśniejsze widmo, w którem się więcej jak 100 linij znajduje. Linje te okazują się także w widmie słonecznem. Oprócz tych linij są w widmie Wenery także kilka linij podobnych do tych, które się w widmie absorbcyjnym naszej atmosfery znajdują. Gdy zaś linje teluryczne przeważnie przez parę wodną znajdującą się w atmosferze się tworzą, to można z istnienia podobnych linij w widmie Wenery wnosić, że atmosfera Wenery, której bytność spostrzeżenia astronomiczne dowiodły, zawiera parę wodną.

Widmo Marsa jest podobnem do widma Wenery, tylko mniej jasnem. Okazują się w niem tak samo jak widmie Wenery linje absorbcyjne, wskazujące na istnienie pary wodnej w atmosferze Marsa.

Widmo Jowisza zawiera oprócz wielu linij znajdujących się w widmie słonecznem, także kilka ciemnych prążków w swej mniej łamliwej części, między któremi się szczególnie ciemne pasmo w czerwonej części widma odznacza. Te ciemne pasma powstają wskutek pochłonienia światła słonecznego w gęstej atmosferze Jowisza. Atmosfera tego planety zdaje się wielkim perjodycznym zmianom podlegać. W roku 1871 i 1872 widoczne były na Jowiszu liczne ciemne pasma

między któremi szczególnie jedno na północnej półkuli, bardzo było wyraźnem. Pasmo to do roku 1874 bardzo zbladło, a w niektórych dniach wcale nie było widocznem; inne pasmo, na równiku Jowisza, rozdzieliło się w kierunku podłużnym na dwie części.

Bardzo podobnem do widma Jowisza jest widmo Saturna. Pierścienie Saturna jednak okazują widmo różniące się tem od widma Saturna, że nie zawiera ono tego ciemnego pasma w barwie czerwonej, które się w widmie Saturna i Jowisza znajduje. Brak tego pasma w widmie pierścieni Saturna pozwala wnosić, że pierścienie te albo wcale żadnej nie mają atmosfery, albo że atmosfera ta ma bardzo małą wysokość i gęstość.

Przypuszczenie, jakoby Jowisz i Saturn miały własne światło, nie zostało stwierdzonem przez spektroskop, gdyż istnienie pary wodnej w atmosferach tych planet, udowodnione temi spostrzeżeniami, nie da się pogodzić z tak wysoką temperaturą, przy której by te planety własnem mogły świecić światłem.

W widmie Uranusa wskutek małej siły światła tego planety, nie widać linij Fraunhofera, natomiast poprzecinane jest to widmo prawie we wszystkich swych częściach szerokiemi ciemnemi pasmami, wskazującemi na istnienie gęstej i wysokiej atmosfery na tym planecie.

Widmo Neptuna podobnem jest do widma Uranusa. Linij Fraunhofera w niem nie widać, lecz znajdują się w niem kilka szerokich i ciemnych pasm absorbcyjnych.

W ogólności różnią się widma planet tem od widma słonecznego, że w swych więcej łamliwych częściach zawierają ciemne pasma, powstające przez pochłanianie światła w atmosferach planet. Czem więcej planeta jest od słońca oddalony, tem wyraźniej okazuje się w widmie wpływ tej atmosfery. Planety Merkury i Wenus okazują w widmie słabe tylko pasma absorbcyjne w czerwonej i żółtej barwie; Mars okazuje te same pasma, lecz znacznie silniej; w widmie Jowisza i Saturna znajduje się oprócz tego inne wyraźne pasmo w barwie czerwonej, a widma Uranusa i Neptuna poprzecinane są prawie we wszystkich częściach ciemnemi i szerokiemi pasmami absorbcyjnemi.

Ludwik Wierzejski.

Piśmiennictwo polskie.

(*Roztrząsania i opowiadania historyczne przez Józefa Szujskiego. Kraków 1876.*)

(*Ciąg dalszy.*)

Ostatnie lata bytu naszego politycznego nie były dotychczas, i prawdę powiedziawszy, nie są jeszcze tak rozświecone, jak tego ważność tej smutnej epoki wymaga. Dwojakie są tego powody: nasi pisarze z łatwo wytłumaczonych, choć nie słusznych przyczyn nie chcieli się imać pracy nad tym najboleśniejszym ustępem naszej historji, a i obcy nie wiele się nim troszczyli, woląc nad upadkiem Polski pisać filozoficzne rozpamiętywania, aniżeli podjąć się żmudnej pracy wyjaśniania faktów. Drugim, ważniejszym jeszcze powodem zaniedbania tej epoki, była niedostępność materjałów, ukrywanych pilnie przez rozbiorcze rządy i interesowane familje. To też oprócz kilku niedostatecznych i polemicznych prac, literatura nasza historyczna nic prawie nie może wykazać odnoszącego się do owej epoki. W ostatnich latach pojawiło się tak w naszej, jak i obcej literaturze kilka dzieł nadzwyczaj ważnych, zajmujących się owemi czasami, a prym pomiędzy niemi trzyma wyborne dzieło W. Kalinki pt. „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta.“ Autor jest sumiennym badaczem dziejów, posiada sąd bystry i wysoko wykształcony zmysł krytyczny, a co najważniejsza, wolen jest od namiętności stronniczej, w jaką bardzo łatwo popaść pisząc o naszym upadku. Kalinka pierwszy na podstawie nieznanych dotychczas źródeł skreślił nam portret Stanisława Augusta, który jak się pokazuje, nie był złym i na losy kraju obojętnym człowiekiem. Głębokie wykształcenie, uprzejmość, dobroć w codziennych życia stosunkach uczyniłyby zeń w zwyczajnych warunkach króla, któregoby nam zazdrościli postronni. Nieszczęściem jego było, że nie dorósł sytuacji, w której go Opatrzność postawiła: słabość charakteru była jego i kraju całego zgubą. Recenzja dzieła Kalinki pióra p. Szujskiego, jest właściwie tylko sprawozdaniem: Szujski godzi się we wszystkiem z Kalinką, gdzie niegdzie tylko wykazując małe usterki i niedostatki. Bardziej zajmującą jest recenzja dzieła Sołowiewa „Historji upadku Polski.“ Sołowiew czerpał z archiwum petersburgskiego, to też podał nie jeden fakt ciekawy, nie znany dotychczas, i pod tym względem dzieło jego zajmuje ważne miejsce w historjografji upadku Polski. Za to pod względem bezstronności historycznej wartość jego redukuje się ad minimum. Sołowiew, jak prawdziwy służalczy czynownik, a priori postawił sobie za zadanie całą rzecz upadku Polski zwalić na nas tylko, a Rossję przedstawić w świetle niewinnego baranka. Dzieło Sołowiewa jest właściwie tylko paszkwilem, a nie pracą poważną, godną profesora Uniwersytetu. Wszystko co u nas było dobre, co każdy bezstronny uznać musi, Sołowiew przedstawia w wręcz przeciwnem świetle, a jeżeli tego uczynić nie może, pomija milczeniem. U niego każdy patrjota, to buntowszczyk. Do jakiego stopnia posuwa zaś swoją bezczelność (bo tego wyrazu użyć należy) niech dowodzi to, że np. konfederatów barskich, owych idealnych rycerzy za religię i wolność, obrzuca przezwiskami awanturników i rozbójników. Sołowiew kategorycznie wydający wyrok potępienia na Polskę, ogranicza się przeważnie na źródłach moskiewskich i niemieckich paszkwilach, a nie zna prawie zupełnie najważniejszych źródeł polskich, krom kilku miernej wartości pamiętników. Otóż to jego sumienność — oto bezstronność historyczna — oto poszanowanie własnej godności jako historyka i profesora Uniwersytetu! Ale cóż o tem mówić, przecież pan Sołowiew jest Moskalem, a widać, że kłamliwej moskiewskiej natury nic już przerobić nie potrafi. Najkomiczniejszem w dziele p S. jest usiłowanie, aby winę podziału Polski zwalić na Austrję i Prusy. Przecież to według niego czyn zupełnie sprawiedliwy, poczóż się tego wstydzić?

Trzeciem z rzędu dziełem, którego krytykę zamieścił w swym zbiorze p. Szujski, jest „Verfassung der Republik Polen,“ Siegfrieda Hüppego. Jest to jedyne w swoim rodzaju dzieło zawierające filozofję naszych ustaw. Autor, Prusak, należy do szkoły materjalistycznych historyków, wyhodowanych pod cieniem pikelhauby, którzy zasadę: siła przed prawem, w całej nagości przeprowadzają w historji. Specyficzny patrjotyzm pruski objawia się u niego zbyt często w wynoszeniu germanizmu ze szkodą innych plemion. Polska według niego to trup, na którym warto uczynić ciekawą sekcję dla nauki innych narodów! To też we wstępie do dzieła poglądy jego historjozoficzne odznaczają się jednostronnością i brakiem głębszej myśli, którą tylko nadać może pojmowanie dziejów ze stanowiska chrześcijańskiego. Nie jedno uważa on za złe, co nam chlubę przynosi i w czem właściwie przyszłość nasza. Życie patrjarchalne i gminowładne, którem się nasz ustrój społeczno-polityczny odznaczał, nie jestże ideałem ludów, który jęczy pod despotycznym naciskiem centralizacji objawiającej się w nowożytnych państwach? Czyż indywidualizm, zanadto wprawdzie wygórowany w naszych dziejach, nie jest raczej dowodem naszej żywotności, aniżeli upadku? Państwo oparte na centralizmie, skoro upadnie, nie podniesie się nigdy, bo jednostki nie mogą się przywiązać do tego ustroju, wymagającego od nich wielorakich poświęceń, a natomiast dającego im bardzo mało. „Gdzie wszystko zestrzeliło się w państwie, tam z upadającem państwem wszystko przepada, gdzie w jednostce zestrzeliło się państwo, tam bole konania śmierci sprowadzić nie mogą, dopóki ostatnia prawie nie zginie jednostka.“ Jednostronność zapatrywań historjozoficznych we wstępie wynagradza autor sowicie dziełem samem. Pełno w niem wybornych definicyj i głębokich poglądów na dzieje nasze, opartych na sumiennem obznajomieniu się z naszemi instytucjami. Autor przechodzi kolejno: władzę królewską, szlachtę, sprawę miast i wyznaniową, finanse, administrację, wojskowość itd. i wszędzie okazuje gruntowną znajomość przedmiotu i bystry zmysł krytyczny. (C. d. n.)

Kronika paryska.

(*Ciąg dalszy*).

Paryż — Styczeń 1877 r.

Mógłby ktoś słuszną powodowany ciekawością, zapytać autora: „Cóż to dowodzi?“ I jaki cel, jaki ideał moralny przewodniczył mu w kreśleniu tego pseudo historycznego utworu? Poważny nastrój bowiem całej pracy, przeszkadza nam przypuszczać, by chodziło mu tylko o przedstawienie kilku scen efektownych, o napisanie melodramatu, jakiejś „Normy“ bez muzyki, mającego za cel zabawę widzów i połechtanie ich wzroku. Czego więc chciał autor, układając sztukę swą tak, że ostateczne zwycięstwo Rzymu nad Hanibalem, zawdzięczamy nie wycieńczeniu Kartagińczyków, nie energji i wytrwaniu Fabjusza, i nie waleczności Scypjona, lecz po prostu okrutnej kaźni nieszczęśliwej Opimji. Czy pragnął zachęcić do podobnie bohaterskich czynów współczesne ludy, którym od współczesnych Hanibalów zagraża niebezpieczeństwo? Czy usiłował udowodnić, iż fanatyzm może do pięknych prowadzić celów? Nie wiemy, i odpowiedź na te pytania nie leży w zakresie naszych atrybucyj. Zakończymy więc uwagą, że historja, ta nauczycielka pokoleń, winna by w autorach większe wzbudzać uszanowanie, i panowie ci posługując się nią na korzyść swych fikcyj, mogliby to z mniejszem czynić lekceważeniem.

Cóż powiedzieć o formie nowego utworu? Znać w niej cudzoziemca. Bądź co bądź, by pisać wierszem w jakimś języku, nie dość znać go dokładnie, nie dość gramatyczne i retoryczne jego

zasady z wielką wystudjować sumiennością, trzeba jeszcze ducha mowy wyssać z mlekiem matki. Forma pana Parodi jakkolwiek poprawna, nie jest na wskróś francuską. Nie znamy szczegółów życia młodego pisarza, stwierdzilibyśmy jednak, że on po francusku nie od matki, nie od mamki, lecz później w szkołach, z książki, od nauczyciela mówić się nauczył, i do dziś dnia myśli w innym jakim, włoskim lub greckim języku. Forma jego trąci przekładanina, czemś, coś się wylęgło w mózgu inaczej, niż wypłynęło na usta. Suknia chociażby sporządzona przez krawca artystę, nigdy tak jak skóra nie uchwyci zarysów ciała. Formie pana Parodi zarzucilibyśmy także w kilku miejscach rażącą fałszywość obrazów; aby to wykazać zacytujemy tylko wiersz jeden usprawiedliwiający aż nadto powyższą krytykę:

„Et la — bas, dans la nuit et dans la solitude,
Le Tibre dans son lit trainant par habitude
Sa paresse i t. d.“

Jakto „par habitude“? Czyż można powiedzieć, iż ta lub owa rzeka płynie tak a nie inaczej z przyzwyczajenia? Przyzwyczajenie, jakkolwiek nazywane drugą naturą, może jednak być przełamanem, stąd wniosek, że Tyber gdyby chciał tylko, mógłby naprzykład popłynąć w górę. Fałszywość obrazu uderzy każdego, i albo bardzo się mylimy, lub słowo „habitude“ znalazło się w wierszu pana Parodi tylko jako długo szukany rym do „solitude“. Biedny poeta mógł znaleść lepiej.

Przejdziemy do drugiej nowości teatralnej wzbudzającej zajęcie publiczności tutejszej, do komedji pana Daudet „Fromont jeune et Riessler ainé“ cieszącej się w teatrze Vaudeville dość ładnem powodzeniem.

Przerobiony z romansu pod tymże tytułem, udatny ten utwór stracił według nas na tej metamorfozie. Talent p. Daudet, jak talent nieboszczki Georges Sand błyszczy głównie w opisach. Są niektóre kartki jego powieści mające wartość ślicznych rodzajowych obrazków. Wdzięk tych opisów tak dobrze usposabia czytającego, iż na ich tle mierna nawet intryga wydaje mu się czemś lepszem, niźli jest w istocie. Otóż na scenie opisy znikają i fikcja zostaje sama, bez podpory, a bez ubliżenia talentowi pana Daudet, nie powiemy, by biedaczka nigdy takowej nie potrzebowała. Czy będziemy opowiadać wam treść komedji? Nie sądzimy by to było rzeczą niezbędną. Romans taką miał famę, tak był rozpowszechnionym, że musiał dobiedz i do was. (Utwór ten sceniczny przedstawiają już we Lwowie. P. R.) Dla zupełnie nieświadomych rzeczy niech wystarczy, iż historja to paryska naszych czasów, historja kobiety, która wydana za mąż „par convenance“ za mężczyznę poczciwego i dobrodusznego, lecz mogącego być jej ojcem pod względem wieku, zdradza go z początku przez miłość dla kogoś tam innego, potem dla przepędzenia czasu, z nałogu, z przyzwyczajenia, dla pokrycia wreszcie wydatków, które nierządne jej życie pociąga za sobą, i która zstępując tak po szczeblach tej smutnej drabiny, schodzi aż w błoto zwykłej prostytucji i grzęźnie w niem po szyję. Pani Pierson odznaczyła się w tej roli rzeczywistym talentem. Dość trudne do oddania gradacje uczuć, coraz to słabnącego wstydu, coraz to wzmagającej się przewrotności, odcieniowywały się w grze jej wybornie. Rola dobrodusznego ślepego męża, starego fabrykanta Riessler'a, powierzona doskonałemu w tym rodzaju artyście panu Parade, nie pozostawiała również nic do życzenia. W romansie był prześliczny pełen goryczy i smętku ustęp o starym komedjancie Delobelle i o garbatej córeczce jego Dezyderji. Otóż ustęp ten najwięcej stracił na przerobieniu powieści dla sceny, i w komedji przechodzi niedostrzeżonym. W każdym razie powodzenie bardzo ładne. P. Daudet to bez sporu najbardziej u nas utalentowany z młodej generacji piszących, i w sferze romansu od czasu śmierci Georges Sand nie ma współzawodników, których by się lękać potrzebował. Mniej może zdolny do tryumfowania na polu teatralnem, chociaż i na niem nie będzie ostatnim. (Dok. nast.)

Z Torunia.

(Ciąg dalszy).

Toruń w Styczniu 1877.

Muzeum jest dosyć bogate w różnorodne okazy; posiada ono między kilkunastu innemi ładne urny, brązowe zabytki, kolekcję średniowiecznej broni, sprzętów domowego użytku, miejscowych dawnych pamiątek i zamorskich osobliwości, lecz nie pociąga ku sobie zwidzającego, najprzód dla tego że lokal sam jest ciemny, a powtóre wszystko znajduje się w takim nieładzie i nieporządku, jakie tylko tam może panować, gdzie odźwierny jest zarazem kustoszem. Dawne miecze i łuki leżą obok nowych cechowych chorągwi; urna obok średniowiecznej misy; japońska waza razem z brązowemi ozdobami przed-historycznej epoki w Prusach znalezionemi; model teatru obok marmurowego popiersia; indyjski sztylet obok chińskiego źwierciadła, a wszędzie kurz i pył na pół łokcia. Katalogu, napisów lub kartek prawie nie ma; nie wiesz, co to za przedmiot, zkąd pochodzi, a i pan kustosz także nie wie i objaśnić cię nie może. Starożytne wielkie obrazy królów polskich, zdobiące niegdyś sale magistratu, wyrzucone obecnie tutaj, wiszą na jednej ze ścian bez symetrji; popiersie Kopernika, którego nazwisko nosi muzeum, stoi gdzieś w kącie z twarzą zwróconą do ściany i zastawione gipsowym odlewem, przedstawiającym jakiegoś umierającego Niemca. Smutne jednem słowem robi wrażenie na zwidzającym to muzeum, i smutne daje świadectwo niemieckiej dbałości o historyczne pamiątki. To jednakże świadectwo jest jeszcze niczem w porówraniu z następującem.

Ponieważ mam zwyczaj, nie przez wszystkich za chwalebny uważany i obserwowany, protegować zawsze i wszędzie rzeczy swojskie, więc wybierając się w podróż, zamiast Bedecker'a kupiłem sobie „Przewodnik dla podróżujących zagranicą“. wydany lat temu trzy w Warszawie przez Orgelbranda. W przewodniku tym na str. 122 w części I przy opisie miasta Torunia znalazłem następujący ustęp: „Miasto staranie też pielęgnuje domek wielkiego astronoma przy ulicy jego nazwiskiem obdarzonej pod l. 168. W nim Kopernik się urodził, młodość swoją przepędził i zaraz po powrocie z zagranicy przemieszkiwał. W pokoiku jego cały sprzęt stanowią: łóżko czarną kotarą pokryte, nad niem poczerniały od starości portret astronoma, dwa stołki, szafa i stolik“. Dojeżdżając do Torunia i na wpół drzemiąc a na wpół marząc, dziękowałem losom, że wiodą do tego starożytnego grodu, gdzie zobaczę te miłe sercu pamiątki, gdzie będę mógł oglądać te ściany, po których rozlegał się głos wielkiego astronoma, te sprzęty, których się dotykała ręka człowieka, będącego największą naszą na polu nauki narodową chlubą!.... Marzyłem.... jeszcze i o współczesnych mu i o bardziej odległych czasach potęgi a sławy, o czasach Chrobrych, Krzywoustych, Łokietków, Jagiellonów, kiedy ci bohaterowie stali na czele narodu i dzielnie bronili go od napaści zachodnich sąsiadów chciwych grabieży i łupu; o owych uroczystych chwilach, w których Litwa z Rusią, Prusy, Inflanty, ciemiężone przez innych, wyciągały błagalne ręce i dobrowolnie poddawały się pod rządy królów, co nie łamali ich praw, szanowali je święcie i udzielali im większych jeszcze swobód.... Marzyłem! puszczając wodze myśli, ulatującej w „utkaną złotem i purpurą przeszłość,“ w której potężny ród siedział na trzech tronach europejskich.... w te czasy, kiedy w Polsce kwitnęła prawdziwa tolerancja i wolność wówczas, kiedy w innych krajach wrzały religijne wojny i prześladowania, a europejscy monarchowie ścieśniali swobodę swoich poddanych, dążąc do absolutnej nieograniczonej władzy... Wspominałem te chwile, w których spadkobiercy dumnych zakonów pokornie schylali kolana i głowy przed majestatami królów, wspaniałomyślnie przyjmujących ich pod swoją zwierzchniczą władzę i opiekę, a mogących ich zgnieść na miazgę potężną swą prawicą!... Dziś, mój Boże, jakże zmieniły się czasy i role!... Dzisiaj ci, co zawsze walczyli za swobodę i przez długie wieki byli przedmurzem Europy, co piersiami swemi i dzielnym orężem zasłaniali i bronili Zachodu i jego cywilizacji od zagłady przez barbarzyńców, nawalnicą wylewających się z Azji na Europę, ci, co spełniali tak zaszczytne posłannictwo dziejowe, nie mają nawet prawa używać wpełni swojego ojczystego języka w swym własnym rodzinnym kraju i każą im się modlić do Boga w nienawistnej im cudzoziemskiej mowie!... Jakże smutno!... Lecz pociąg właśnie staje... otrząśnijmy się z marzeń... nie marzyć, ale pracować nam potrzeba.. spełniać wiernie to, czego kraj i społeczeństwo od nas wymagają. Pracujmy dla przyszłości, abyśmy się stali jej godni, aby jeszcze świetniejszą była, jak przeszłość. Pracujmy! wspominając ją, bo ona nam doda siły! bodźca. Pracujmy! ufni i silni nadzieją, że godzina sprawiedliwości wybije kiedyś na dziejowym zegarze, a wtedy... ach! wtedy pochmurne dzisiaj nad naszą ojczyzną niebo rozjaśni się i zaświeci wschodzące słońce, jaśniejsze od tego, jakie oświecało Psie pole lub pola Grunwaldu!

(Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademji umiejętności. Tom III (z 10 tablicami litografowanemi). W Krakowie — 1876.

Tom ten zawiera następujące rozprawy:

1) Dr. Józef Merunowicz: O wpływie środków wzniecających silny ruch robaczkowy jelit na wydzielenie limfy, na podstawie doświadczeń dokonanych w pracowni prof. Ludwiga w Lipsku. 2) Prof. dr. Alfred Biesiadecki: Badanie mikroskopijne co do sposobu przyrastania przeszczepionych kawałków skóry do dwu wrzodów. 3) Dr. Oskar Fabian: Przyczynek do poznania kształtu linji prężności wody nasyconej. 4) Dr. Tadeusz Browicz: O zmianach pozimnicznych wątroby, śledziony i szpiku kostnego. 5) Dr. Karol Olszewski: Baterja galwaniczna o dwóch płynach, której wypełnianie i wypróżnianie polega na ciśnieniu powietrza. 6) Dr. Franciszek

Kamieński: Kilka spostrzeżeń nad rozwojem Ramienicowatych. 7) Dr. Józef Rostafiński: O przeobrażeniu i zmianie pokoleń w świecie roślinnym. 8) Dr. Ed. Fr. Jaaczewski: Badania nad rozwojem pączka u Skrzypów. 9) Dr. Karol Olszewski: Przyczynek do wykrycia arsenu w dochodzeniach sądowych za pomocą prądu elektrycznego. 10) Dr. Fr. Kamieński: Porównawcze badania nad wzrostem Pływaczów.

Drugą część tomu tego zajmują sprawozdania z posiedzeń: a) Wydziału matematyczno-przyrodniczego; b) komisji fizjograficznej; c) antropologicznej; d) balneologicznej.

Dołączone są do tego tomu tablice, przynoszące zaszczyt litografji p. M. Salba w Krakowie.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

Ruiny zamku Melsztyńskiego.

(*Dokończenie*).

Z kilkoma towarzysznmi z pobliskiego Zakliczyna oraz z p. Władysławem Brandtem pułkownikiem, spuściliśmy się w otwór za pomocą drabiny, opatrzeni w światło i przyrządy górnicze. Zszedłszy, znaleźliśmy się w obszernej piwnicy imponującej swoją wysokością i murami wzniesionemi z ogromnych ciosów. Sklepienie, prócz wspomianego otworu, dobrze zachowane i budowane z cegły w stylu okrągło łukowym. Pierwszą naszą myślą było, którędy do tej piwnicy wchodzono, bo żadnych śladów drzwi ni otworu nie było, a przecież przez dziurę przypadkowo wybitą, nie dostawano się do wnętrza. Pytania tego nie mogliśmy rozwiązać pomimo dokładnego obejrzenia ścian piwnicy. Wiadomo jednak, że w tej piwnicy była niegdyś posadzka kamienna, którą zabrano na ten sam użytek do kościoła, i podobno wtedy znaleziono na środku ogromną skrzynię kamienną. Mówią, że tej skrzyni nie ruszono, bo była za ciężką, a dziś przez ten otwór tyle nasypało się grózów i ziemi, że wszystko niemi pokryte. Jeżeli te gruzy zajmują sążeń, to zakryły drzwi, które prawdopodobnie nie musiały być wysokie. Przy dokładnem oglądaniu ścian i składu kamieni napotkaliśmy jeden cios mniejszy przynajmniej o cały cal, a szpara ztąd powstała była założona kawałkami cegły i wapnem, prócz tego kamień wystawał nad inne o parę linij, co pozwalało przypuszczać, że był później włożony i może zamykał jaki otwór. Po paro godzinnej pracy wybiliśmy ten kamień, ale za nim była ściana naturalna. Oczekiwania nasze zostały więc zawiedzione. Kamienie są piaskowcami lecz tak wielkiej spójności, że w sile swojej nieustępują granitom. Uderzając oskardami w rozmaite części wszystkich ścian, przekonaliśmy się, że na jednej odbijało echo. Echo powstawało przy uderzeniu tylko w pewne części tej ściany, i nawet uderzeniami dało się oznaczyć jego granicę. Granica ta tworzyła najwyraźniej łuk spuszczający się do spodu gruzów, na których myśmy stali. — Otwór w tem miejscu do drugiej piwnicy nie mógł się znajdować, bo glazy zachodziły jedne na drugie jak najregularniej. Otóż i nowa zagadka, którą w ten sposób tłumaczę, że albo w piwnicy po za ścianą jest framuga, i ztąd przez ciężkość muru powstaje echo, albo do tej piwnicy, w której byliśmy teraz, prowadzi wąski korytarz od którego drzwi mogły być pod gruzami. Łuk zaś uderzeniami naznaczony, byłby w takim razie łukiem okrągłego sklepienia korytarza. Przebicie jednak tej ściany było dla nas samych rzeczą nie łatwą, bo oprócz kilofów, oskardów i łopat, niemieliśmy nic więcej. a te narzędzia wcale nie wystarczały. Nad wieczorem opuściliśmy piwnicę.

Wieśniak mieszkający wśród gruzów zamczyska opowiada, że dawniej w jego ogródku owocowym pokazał się otwór, a do dna jego największemi żerdziami nie mógł dostać. Z obawy zatem by tam kto nie upadł, założył go drzewami, deskami i gałęziami, poczem narzucił kamieni i zasypał ziemią. Dziś na tem miejscu rosną drzewa śliwkowe, które ów gospodarz sam posadził. — Dokąd otwór mógł prowadzić nie wiadomo. Pedanie powiada, że w epoce wojen z Tatarami, wzięto między innemi niewolnikami młodą Tatarkę cudnej piękności a narzeczoną pewnego Tatara bardzo bogatego. Narzeczony przybył do zamku i obiecał dużo pieniędzy za uwolnienie swej lubej. Jednak pan grodu oświadczył, że pod tym tylko warunkiem wyda mu dziewicę, jeżeli narzeczony wykopie mu studnię, której nie było, tak, że wodę musiano brać z Dunajca. Tatar zgodził się i po długiej pracy dostał się do wody, gdy dokopano do poziomu rzeki. Studnia była gotową i Tatarkę wydano. Podług tego podania możnaby przypuścić, że właśnie w tem miejscu jest ta studnia. Przedewszystkiem trzeba badać.

Jeden z okolicznych wieśniaków znalazł części zbroi i miecz starożytny. W ostatnich czasach zwrócono tu i owdzie uwagę na zabytki starożytności. Pod Krakowem, dzięki p. Łepkowskiemu rozpoczęto na wiosnę roku zeszłego poszukiwania archeologiczne w grocie Twardowskiego. Jakkolwiek jest to grota z natury utworzona, to jednak mogła służyć za miejsce schronienia, i może co w sobie ukrywa. Jeżeli grota Twardowskiego przedstawia cel dla badań i poszukiwań, to zdaje mi się, że ruiny Melsztyna nierównie więcej obiecują. Żaden jednak z okolicznych obywateli nie może się tem zająć, raz że do tego trzeba pewnej specjalności, a po wtóre, że zajęcia gospodarcze nie pozwalają oderwać się i poświęcić długim poszukiwaniom. Pomocy jednak żaden z nich badaczom nie odmówi, a tak zabytki krajowe powiększyły by się nowemi wykopaliskami starożytności polskich. *Stanisław Tomkiewicz.*

Literatura sztuka i nauka.

— Bardzo piękne i pożyteczne wydawnictwo wejdzie wkrótce w życie staraniem pp. Rogosza i Richtera. Oto w „Zbiorze tanich powieści" wydawanym teraz przez księgarnię Richtera, pojawi się za dni kilkanaście serja nowa, tworząca całość odrębną, a zawierająca wszystkie romanse polskie historyczne, których dziś nie ma już ani w księgarniach, ani w antykwarniach. W pięknym tym zbiorze będą pomieszczone takie utwory jak „Pojata, córka Lezdejki," romans historyczny Bernatowicza; tegoż „Nałęcz," „Mysza wieża," „Pretendenci" Bronikowskiego i wiele innych najcelniejszych utworów naszej literatury. Piękna ta bibljoteka, którą wszyscy przyjmą jak najgoręcej, będzie wychodziła w zeszytach tygodniowych, zeszyt po 25 ct. Prospekt wkrótce się pojawi. Druk pierwszej powieści „Pojata" już rozpoczęty.

— W lutym ma wyjść z druku w Krakowie wyczerpana już a wielce szacowna praca śp. Juljana Bartoszewicza, poświęcona piśmiennictwu polskiemu.

— Ciekawy zbiór listów orjentalisty Sękowskiego, pisanych z Konstantynopola i Smyrny do Joachima Lelewela wyjdzie niebawem w Warszawie z pod prasy.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała świeżo „Śpiewy Ukraińskie" tak zwane dumki Michała Zawadzkiego, jakoteż „Zbiór piosenek" H. Szoporowicza, ułożonych na kształt mazurków.

— P. Jan Stolcman, który wyjechał w podróż naukową kosztem hr. Branickiego w r. 1875 nadesłał do warszawskiego gabinetu zoologicznego sporą ilość ciekawych dla nauki okazów. Pomiędzy wielu innemi odznacza się ładny okaz lwa morskiego (otaria jubata), znalezionego po rozbiciu się okrętu na wybrzeżach Panamy.

— Towarzystwo sztuk pięknych w Warszawie rozpisało konkurs celem uczczenia pomnikiem śpiewaka Marji. Dwóch tylko rzeźbiarzów odpowiedziało na wezwanie, pp. Ostrowski i Weloński. Ostatniemu przyznano pierwszeństwo. Pomysł p. Welońskiego jest stanowczo idealny. U szczytu strzaskanej piramidy nagrobka, genjusz poezji potrąca struny liry, z której Malczewski wydobywał tony niezrównanego uczucia rzewności. Poniżej, przy podstawie, postać kobieca smutna, zadumana, z wieńcem w lewej ręce, jakby wsłuchująca się w płynące z góry dźwięki. Postać ta oznacza ojczyznę. Na podstawie piramidy księga, laury i w płaskorzeźbie pierwszy wiersz poematu: „Hej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze?"

Akademja Umiejętności.

— Akademja umiejętności wydała następujące ogłoszenie konkursu: Ponieważ dla uniknięcia przewłoki w wypłacie nagrody z fundacji im. S. B. Lindego, wynikającej z niezgodności oznaczonego dla niej terminu z terminami pełnych posiedzeń Akademji (fundatorka zgodnie z uczynionem sobie przedstawieniem, uznała za stosowne przenieść go na dzień 8 maja, przypadający we dwa tygodnie po rocznicy urodzin śp. S. B. Lindego); pragnąc zatem zastosować do tego przyznanie już pierwszej nagrody, Akademja umiejętności w Krakowie ponawia z odpowiednią zmianą dawniejsze ogłoszenie konkursu w sposób jak następuje:

1) Przedmiotem konkursu będą prace z zakresu języka polskiego, mogące w jakimbądź względzie służyć za dopełnienie słownika Lindego.

2) Praca tej treści za najlepszą przez Akademję uznana, otrzyma nagrodę w ilości 675 rubli, tj. w kwocie równej wartości kuponów płatnych w ciągu 3 lat od złożonych w tym celu listów zastaw. miasta Warszawy.

3) Prace treści nadmienionej, o ile byłyby przedmiotem konkursu, czy to w ciągu ogłoszonego terminu już wydrukowane, czy też w rękopiśmie, winne być nadesłane Akademji najdalej do końca grudnia 1878.

4) Przyznanie nagrody i zawiadomienie o przyznaniu na publicznem posiedzeniu Akademji, nastąpi w pierwszych dniach maja 1879, wypłata zaś sama 8. maja tj. we 2 tygodnie, licząc od rocznicy urodzin S. B. Lindego.

5) Praca uwieńczona zostaje własnością autora, który wszelako, gdyby takowa była już drukowaną, winien przed powzięciem nagrody złożyć w Akademji 50 egzemplarzy; w razie przyznania nagrody za pracę nadesłaną w rękopiśmie, autor winien ją bądź sam ogłosić drukiem najdalej w ciągu jednego roku, bądź zdać to na Akademję. W pierwszym razie autor złoży Akademji, w drugim Akademja autorowi 50 egzemplarzy.

— W Krakowie 30 stycznia 1877. Dr J. Szujski, jeneralny sekretarz Akademji.

— W Akademji umiejętności odbyło się dnia 20 b. m. posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem prof. Dra Piotrowskiego. Prezes Akademji Dr Majer odczytał rozprawę: Pomiary włosów w przekroju poprzecznym, jako cecha etnologiczna w zastosowaniu do ludności galicyjskiej. W dyskusji nad tą rozprawą brali udział oprócz autora: Dr Blumenstok, Dr Piotrowski, Dr Karliński i Dr Janczewski. Następnie odbyło się posiedzenie administracyjne w dalszym ciągu poprzedzającego. Prof. Dr Piotrowski zdał sprawę z posiedzenia Komisji balneologicznej, na którem uznano za stosowne, ażeby uprawę balneologji krajowej i opiekę naukową nad zdrojowiskami krajowemi powierzyć Towarzystwu lekarskiemu krakowskiemu, albowiem te prace nie tyle zostają w związku z zadaniem Akademji umiejętności, ile z zakresem działania towarzystwa lekarskiego. Wydział podzielając w zupełności to zdanie, rozwiązał Komisję balneologiczną akademicką, przekonany, że jej czynności obejmie skutecznie Towarzystwo lekarskie krakowskie. Nakoniec na wniosek prezesa Akademji Dra Majera, jako przewodniczącego Komisji antropologicznej, jednomyślnie zatwierdzono wybór p. Klugera Władysława na członka tejże Komisji.

Odkrycia.

— Niedaleko Werony zrobiono temi dniami odkrycie archeologiczne, jedyne w tym rodzaju ze wszystkich dotychczasowych. Oto wydobyto z ziemi dwa naczynia, zawierające nie mniej jak dwa centnary monet, pochodzących z czasów cesarza Gallienusa i stu lat następnych. Monet samych jest blisko 55.000, między niemi 4.000 z czasów cesarza Probusa. Najwięcej jest z bronzu, lecz są także srebrne i bronzowo posrebrzane (subaeratae). Wszystkie monety, z wyjątkiem Gallienusa, które uległy małemu starciu, są tak utrzymane jak gdyby nigdy nie były w obiegu. Włoski minister oświaty wysłał do Werony pana Pigorini, aby rzecz na miejscu zbadał i zdał o niej relację. Najpiękniejsze okazy zostaną w muzeum w Weronie, reszta zaś zostanie w części rozdzieloną między inne muzea, a częścią sprzedana.

— Znany amerykański podróżnik Henry Stanley odkrył na wysokich górach Gambarrara, położonych pomiędzy jeziorami Wiktorja i Alberta (przy ujściu Nilu) białą rasę ludzi, bardzo się różniących od Abisyńczyków, Arabów i ich mięszaniny z Murzynkami. Mają oni, wedle Stanleya, typ kaukazki, cienkie usta i kształtny nos, cokolwiek tylko grubo zakończony. Zajmują się wróżbiarstwem; z ich też grona wyszło kilku królów, panujących nad okolicznemi narodami. Według podań, są oni przybyszami z jakichś odległych stron. Podczas napaści nieprzyjaciół chronią się do twierdzy, zbudowanej przez nich na wierzchołku najwyższej góry; tam są oni w zupełnem bezpieczeństwie od murzynów, którzy nie mogą znieść ostrego klimatu górskiego, zupełnie nieszkodliwego dla białej rasy.

ROZMAITOŚCI.

— W dniu 9 października r. z. rozeszła się po Nowym Yorku wiadomość, iż dawno oczekiwany gość, żywy wieloryb, ma niebawem zawitać do miasta. Tysiące ludzi otoczyło Broadway, gmach, w którym się mieści Aquarium, lecz dopiero około godziny 5 rano nadciągnął niecierpliwie oczekiwany król morza. Odbył on wjazd do stolicy Stanów Zjednoczonych w prostej ale potężnie zbudowanej skrzyni, na dwóch mocnych wozach postawionej. Dyrektor Aquarium, p. Coup, równie jak profesor Butler wydali natychmiast odpowiednie rozkazy, i w kilka minut uwolnioną skrzynię z łańcuchów wsunięto do wnętrza zakładu, zamknąwszy zaraz drzwi, aby nie dopuścić cisnącej się a ciekawej publiczności. Wielki rezerwoar 8 stóp głęboki, w przecięciu 30 długi, napełniony wodą, czekał już gotowy w samym środku budynku; wierzch skrzyni z otworami dla przepuszczenia powietrza zdjęto, trzydziestu silnych chłopów ująwszy za rzemienie, na których wieloryb w skrzyni spoczywał, na dany znak podnieśli po nad jej krawędzie, a on spokojnie przesunął się do przeznaczonego mu na mieszkanie rezerwoaru. W godzinę po jego przybyciu okrzyki podziwu i zadowolenia, wydawane przez zgromadzone tłumy przypatrujące się pływającemu w rezerwoarze wielorybowi, świadczyły o świetnym rezultacie całego przedsięwzięcia. Przez kilka pierwszych minut kolos ów leżał spokojnie w wodzie; potem począł się pomału ruszać i posuwać w około, jak gdyby chciał zrekognoskować nowe swoje mieszkanie; gdy już rozpatrzył takowe należycie i wszystko znalazł w najlepszym porządku, natychmiast wziął się do spożycia śniadania, składającego się z ogromnej porcji węgorzów, którą dla niego umyślnie w tym celu przygotowano. Później spacerował sobie najspokojniej w świecie, dając do zrozumienia, że zgadza się zupełnie ze swoim losem i jest z niego zadowolony. Nowy i rzadki ten gość posiada 18 stóp długości przy odpowiedniej objętości. Barwa jego ciała jest popielatą, dla tego otrzymał imię White Whale. Podług raportów nowojorskiej Aquarium-gazety złapano go w zatoce Św. Wawrzyńca w umyślnie na to wykopanym rozdole i silnemi palisadami otoczonym, tak że woda w czasie przypływu i odpływu morza swobodnie wchodziła i odchodziła. Ztamtąd prrywieziono go na statku do Quebecku w Kanadzie, zkąd wsadzony do wielkiej drewnianej skrzyni najprzód odbył do Montreal kołową drogę, a następnie koleją żelazną został sprowadzony do Nowego Yorku. Przez cztery dni trwającej podróży musiano wciąż odświeżać morską wodę i karmić wieloryba świeżemi śledziami. Rezerwoar przeznaczony dla niego zawiera 30 000 galonów wody, którą co 24 godzin potrzeba odnawiać. Jego teraźniejsze pożywienie składa się dziennie z półtora centnara węgorzów, a jeżeli do tego weźmiemy na uwagę ową ogromną masę ryb i innych stworzeń morskich, jakie idą dziennie na potrzeby Aquarium, to nie będziemy się dziwili, jeżeli na targu rybim w Nowym Yorku nastąpi drożyzna, która ludziom stanie się z czasem uciążliwą. Ale obecnie radość z posiadania tak znakomitego gościa jest tak wielką, że nikt nie chce jej sobie psuć tego rodzaju przypuszczeniami, a zresztą zachodzi pytanie, czy ten olbrzym morski, pozbawiony odpowiedniego i właściwego swej naturze ruchu, długo w rezerwoarze żyć będzie w stanie.

— O Ludwiku XI, królu Francji, jak również o warunkach i czasach, wśród których przypadają jego rządy, zostawiła nam historja nadzwyczaj smutny obraz. Był to bowiem fatalny perjod przejściowy ze średnich wieków, które się już były przeżyły, do ledwie co świtającej epoki nowej. Nieograniczona niczem samowola książąt panujących i ich faworytów, kierujących się li namiętnościami, szła o lepsze z ogólnem burzeniem się przeciw wszelkiej władzy zwierzchniczej i stosunkom lennym, bezwzględne samolubstwo i nienasycona chciwość panowały we wszystkich warstwach narodu, a dwie z nich wybitne, kościół i szlachta, wymagały nieodzownej a rychłej reformy. Ludwik XI najstarszy syn Karola VII, któremu dziewica orleańska tron ocaliła, urodził się 3 lipca 1423 w Bourges. Był to utalentowany, przytem zaś władzy chciwy i okrutny człowiek, który już w młodości buntował się często przeciw ojcu. Jako 17letni młodzik wziął udział w sprzysiężeniu szlachty przeciw królowi, za co został w pole wysłany, i w wojnach z Anglikami i Szwajcarami wykształcił się na dzielnego żołnierza. Mimo to naprężenie stosunków pomiędzy ojcem a synem trwało później ustawicznie, tak dalece, że Ludwik, jako następca tronu czyli dauphin przebywał po większej części na dworze księcia Burgundji. Gdy ojciec 22 lipca 1461 umarł, a Ludwik wówczas 38 lat liczący, na tron wstąpił, szlachta lennicza w całem państwie myślała tylko o wyswobodzeniu się z pod władzy królewskiej. To też upokarzał i ograniczał, gdzie i jak tylko mógł, wysoką szlachtę, starał się pozyskać miasta dla siebie, a nieprzyjaciołom swoim szkodził na każdym kroku, bądź to kłócąc ich między sobą, bądź gubiąc podstępnie najwybitniejszych. On to wynalazł tę teorję, że cel uświęca środek. Z nieubłaganą surowością i okrutnością deptał swoich przeciwników zwyciężonych, bezustannie rozszerzał władzę swoją, starał się przytem podnieść rolnictwo i handel, wzbogacić skarb państwa a złamać zupełnie potęgę wazalów, by na ich ruinie ugruntować tem pewniej swoją władzę monarchiczną. Gdy chodziło o własną jego korzyść, był niezmordowanie czynny i przedsiębiorczy. W ostatnich latach życia zchorzały i dręczony ponuremi myślami i wyrzutami sumienia, pełen nieufności i bojaźni przed skrytobójcami, zamknął się w obronnym zamku Plessis-les-Tours, otoczony tylko kilkoma swoimi zaufanymi i zwolennikami. Długie dnie spędzał na modlitwach, układaniu planów szatańskich przeciw nieprzyjaciołom, lekturze klasyków, i rozrywkach, których mu dostarczali kuglarze z całego świata sprowadzani. Szczególniej bawiły go sztuczki wyprawiane z młodemi wytresowanemi wieprzkami, ktore produkowano w sypialni króla, przed jego łożem. Najwyborniej zcharakteryzował Ludwika znakomity pisarz Walter Scott, w powieści „Quentin Durward.“ Dramaturg francuskj Kaźmierz Delavigne i kilku innych usiłowali przenieść go na scenę, i uwydatnili dość trafnie wiele rysów z jego charakteru i czasów panowania. Podobno jego hasłem i zasadą była znana sentencja że „kto nie umie udawać, ten nie potrafi także panować.“ Mimo wszystko, co uczynił był dla wzmożenia potęgi i bogactw Francji, kraj cały odetchnął wolniej, jak po zrzuceniu gniotącego ciężaru, gdy wieść się rozeszła, że nareszcie 30 sierpnia 1483 umarł w swoim zamku, strzeżonym pilnie przez 10000 łuczników i gwardzistów.

— Zmarły niedawno Krezus amerykański Vanderbilt, słyszał chętnie, gdy majątek jego szacowano na 100 miljonów dolarów. Atoli nikt i nigdy nie mógł wiedzieć o tem coś stanowczego, gdyż stary kommodor był za nadto przezorny, by pozwolił zaglądnąć komu do swoich kart. Pewien jegomość, którego obowiązki urzędowe sprowadzają w częsty stosunek z nowojorskiemi potęgami finansowemi, powiedział niedawno temu, że w tem co opowiadają o fortunach Stewartów, Astorów i Vanderbiltów, wiele a wiele ludzkiej przesady się znajduje. Długi czas mniemano ogólnie, że każdy z trzech wymienionych wyżej bogaczów, posiada co najmniej 100 miljonów dolarów majątku. Ludzie, którzy tak sądzą, twierdzi ów pan, nie wiedzą zapewne, co to znaczy 100 miljonów. O ile on sam mógł obliczyć, to spadek po Astorze wynosił najwyżej 50 miljonów. Majątek Stewarta nie przekraczał 20 miljonów. W r. 1875 płacił Kommodor Vanderbilt podatki od trzech miljonów osobistej własności. Ile wynosi jego majątek w akcjach rozmaitych, niepodobna obliczyć, całą zaś po nim spuściznę podają na 85 miljonów. Ażeby sobie wyobrazić, jak wielką jest taka suma, dość podobno powiedzieć, że człowiek któryby liczył ją pojedyńczemi dolarami, pracując po 10 godzin dziennie a 300 dni w roku, musiałby przynajmniej pięć lat ustawicznie być zajętym, zanim by gotów był z robotą.

— Dziennik włoski „Opinione“ zamieścił niedawno wiadomość, że pomiędzy przedmiotami, przeznaczonemi do przeniesienia ze starego muzeum miejskiego w Turynie do pałacu Madama, znajdują się także popioły włoskiego księcia poetów Dantego, zabrane ongi z grobu jego w Rawennie. W sprzeczności z tą wiadomością nadeszły z Rawenny następujące szczegóły, dotyczące relikwij wielkiego poety. Boccaccio, przyjaciel Dantego, Benvenuto d'Imola w r. 1389, i Dezydery Spreti w roku 1452 z wieloma innymi, jak nie mniej Bembo, który w r. 1483 odrestaurował mauzoleum i widział urnę, potwierdzają, że wielki poeta umarł w szpitalu w Rawennie, tamże pochowany został, i tam spoczywają do dziś jego prochy. Dopiero za czasów Walentego Gonzagi okazała się wątpliwość, czy prochy nie zostały z urny wyjęte, co też rzeczywiście stało się było z następujących powodów. W r. 1396 zażądała Florencja, na mocy postanowienia priorów, zwrotu cennych relikwij. W lutym r. 1429 ponowiono to żądanie pismem Signorji florenckiej do Pana Rawenny, Ostasia dei Polentani. Na koniec w październiku r. 1519 prosili Florentczycy papieża Leona X Medyceusza, ziomka swojego, by te szczątki drogie odebrał Rawennie i zwrócił je ojczystemu miastu poety. Gdy wieść się rozeszła o tej prożbie potężnego miasta, wystosowanej do nie mniej potężnego papieża, obawieli się mnisi będący w posiadaniu urny z popiołami Dantego, że im je zabiorą. To też wyjęli je potajemnie, i skryli w swoim klasztorze. Później pochowano je w drewnianej trumnie w murze kościoła Braccioforte, przylegającego do klasztoru. Przy demolowaniu tego muru w r. 1865 ukazała się trumna na jaw, i nosiła na jednej stronie napis: Dantis ossa denuper revisa die 3 Junii 1677 (Kości Dantego, oglądane świeżo 3 czerwca) na drugiej: Dantis ossa a me Fre. Antonio Santi, hic posita. Anno 1677. (Kości Dantego, przezemnie brata Antoniego Santi, tu złożone w r. 1677). Gdyby wiadomość w „Opinione“ okazała się prawdziwą, należałoby teraz skonstatować, jakim sposobem prochy Dantego przyszły znowu do Turynu.

— Do Times piszą z Jeddah: W tych dniach zdarzył się tu w porcie wypadek, nieprzewidziany wcale w ostatnim okólniku admiralicji o zbiegłych niewolnikach. Do angielskiego okrętu „Facon“ przypłynął wpław z miasta czarny niewolnik. Stawiony przed kapitanem zeznał, że jest Nubijczykiem, niedawno kupionym przez teraźniejszego swojego pana, i że w skutek nadmiaru ciężkiej pracy odmówił mu posłuszeństwa a potem zbiegł z twardej niewoli. Ponieważ na pokładzie Faconu niemożna było pomieścić przybyłego, więc kapitan zajrzał do ostatniego okólnika admiralskiego, aby sie dowiedzieć z niego, co mu uczynić wypada ze zbiegiem. Ku zakłopotaniu swojemu przekonał się, że lordowie nie przewidzieli byli takiego wypadku, jak mianowicie postąpić należy z niewolnikiem, którego pozbyć się trzeba, gdy przytem nikt nie żąda jego wydania. W końcu kapitan oddał murzyna konsulowi angielskiemu, ten wydał go namiestnikowi tureckiemu, ostatni znów kazał zaprowadzić nieszczęśliwego negra do jego nielitościwego pana, i biedny człowiek zostaje dalej w krwawej niewoli. Wiedzieć należy, że kapitanowie angielskich okrętów wojennych są wobec ohydnego handlu niewolnikami zupełnie bezsilni, gdyż nie istnieją między Anglją, a Turcją i Egiptem jakiekolwiek układy pod względem wytępienia tej sromotnej spekulacji ludźmi. Wszystkim tu żyjącym jest dobrze wiadomą rzeczą, że do Jeddah i innych tureckich portów Czerwonego morza sprzedają z przeciwległych brzegów zupełnie jawnie ogromną liczbę niewolników, szczególnie ze Sawakin i Massowah, przyczem transporta te idą na statkach, noszących tureckie lub egipskie flagi. Wprawdzie rząd angielski uwiadamiany o tem często przez konsulów swoich, wydał był rozkaz, aby okręty wojenne, kursujące po Czerwonem morzu, zatrzymywały się dla postrachu w pewnych portach, atoli środek ten w praktyce jest bezowocnym, i raczej należałoby, aby kapitanowie okrętów angielskich mieli upoważnienie rewidowania okrętów podejrzanych o stosunki z handlarzami niewolników, i w razie napotkania takiego transportu, konfiskowania okrętu bezzwłocznie.

Od Redakcji.

W jednym z następnych numerów rozpoczynamy druk bardzo ciekawego opowiadania o powstaniu Polaków nad Bojkałem w r. 1866.

Treść Nr. 22.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).